W numerze: W poszukiwaniu straconego czasu ● Powrót ● De Gaulle u Stalina ● Lynch ● Wiersze ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

49 (359)
12. XII. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

Fot. Piotr Kwiatkowski

JERZY URBANKIEWICZ

Zielone światło dla zielonych świateł

Nasze, łódzkie, problemy są prawdopodobnie tak stare, jak samo miasto. Miasto zaś liczy sobie ponoć już powyżej 500 lat a nigdy nie wiadomo, do czego na drodze systematycznych odkryć jeszcze dojdziemy. Aby więc nie zanurzać się w pomroki dziejów, pozwolę sobie cofnąć się o lat zaledwie sto i od owego czasu snuć opowieść o WSZYSTKIM, CO DOTYCZY KOMUNIKACJI MIEJSKIEJ W ŁODZI.

Zaczęło się najprawdopodobniej od tzw. „kuryerek" czyli pocztowych dyliżansów utrzymywanych przez dzierżawców tzw. poczthalterii. Kiedy taka „kuryerka" przejeżdżała przez miasteczko, można było się przysiąść i dojechać na przykład z Nowego Miasta do Geyera. Zważywszy zaś, że urbanistyczny kształt ówczesnej Łodzi mocno przypominał dzisiejszą Zduńską Wolę, ta jedna trasa w znacznej mierze rozwiązywała doraźne problemy komunikacyjne. W pomoc jej przyszły dorożki.

Nie było w Łodzi zaczarowanych dorożkarzy, zaczarowanych dorożek, ani zaczarowanych koni. Realizm rządził tym zawodem od samego zarania. Dystans, jaki dzielił łódzkich dorożkarzy od wszystkiego, co nierealne, poetyckie, zaczarowane, wyrażał się poza ekwipunkiem — zwyczajami, którym hołdowali nagminnie. Nabierali pasażerów ponad miarę, nie mieli względów dla dam, nie znających miasta przewozili z jednej strony Piotrkowskiej na drugą, okrężną drogą i brali jak za pełny kurs, należeli do złodziejskich gangów, ciągnęli zyski ze stręczenia nierządu.

Znaczną jednak ilość swoich win wymazali w latach 1905—1907, bowiem działacze rewolucyjni tamtych lat posługiwali się dorożkami w wielu politycznych akcjach.

W latach międzywojennych mówiło się:

Dalszy ciąg na str. 3

APOLONIUSZ ZAWILSKI

Czas na Dąbrówkę

(Reminiscencje z obchodów tysiąclecia stosunków polsko-czeskich w Opawie)

Milionkroć razy podkreślano już doniosłość decyzji Mieszka I, który przyjął chrześcijaństwo z rąk pobratymczego narodu czeskiego, unikając w ten sposób niemieckiego pośrednictwa, które nieuchronnie niosło za sobą germanizację. Odstraszającym tego przykładem są Słowianie Połabscy i Nadbałtyccy, z których zostały zaledwie odosobnione ślady, gdyż wytępił je zarówno krwawy miecz grafów, jak i błogosławiący krzyż biskupów niemieckich. Natomiast państwo Polan z chwilą przyjęcia formułki wiary chrześcijańskiej stało się pełnoprawnym partnerem w rodzinie europejskiej narodów, korzystając niejednokrotnie z poparcia papiestwa w jego rozgrywkach z cesarzami niemieckimi.

Po wielu perypetiach okresu wczesnofeudalnego zdołało ono stworzyć trwałą organizację państwową za Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego, a następnie za pośrednictwem Jadwigi powtórzyć eksperyment Dąbrówki w spotęgowanej skali, przerzucając barierę antygermańską aż po Niemen, której trwałość została potwierdzona na polach Grunwaldu w 1410 roku. W ten sposób dwa narody zachodniej Słowiańszczyzny — Czesi i Polacy zadecydowali na szereg wieków o obliczu ideowo-politycznym Europy środkowej, czyniąc bezprzedmiotowym istnienie zakonu krzyżackiego, który w rezultacie musiał zwinąć sztandary swej misji chrystianizacyjnej i wystąpić w jawnej funkcji straży przedniej germanizmu. Stworzenie potęgi zagrażającej światu nie obciąża wątłych barków naszych królowych, gdyż zadziałały tu zupełnie odmienne koniunktury historyczne, których nie można było ani przewidzieć ani im zapobiec w X względnie XV wieku. Mimo to na skutek ich historycznej misji granica Niemna stała się dla Niemców linią nieprzekraczalną na całe wieki i dzięki temu jeszcze w 1939 roku ich uderzenie na Polskę mogło wyjść z rejonu Olsztyna — ale nie Wilna!

1000-lecie stosunków polsko-czeskich przyciąga uwagę historyków jednej i drugiej strony i jest przedmiotem ich wszechstronnych badań, których główną płaszczyznę stanowi opór obu słowiańskich krajów przed naciskiem germanizmu. Charakterystyczna jest dążność do paralelizowania zjawisk historycznych, do podciągania losów obu narodów do wspólnego mianownika. Nacisk niemieckiej ekspansji pozbawił zarówno Czechów jak i Polaków własnej państwowości i ograniczał rozwój ich życia narodowego. Jeżeli nawet w odniesieniu do Polski nie jest to zupełnie ścisłe, gdyż znaczne obszary kraju zostały zabrane przez Rosję carską, to uczyniła to księżniczka pruska, Katarzyna, wychowana w duchu tradycyjnej nienawiści do Polski. Tak czy owak więc inicjatywa likwidacji naszych krajów wychodziła ze strony niemieckiej.

2.

Staraniem Północnomorawskiej Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie został zainaugurowany w dniu 18 lipca br. cykl obchodów pt. „1000 lat współpracy czesko-polskiej", których punktem kulminacyjnym była konferencja naukowa w dniach 9—10 września br. w Hradcu pod Opawą z udziałem 150 przedstawicieli ze strony czechosłowackiej i polskiej. Na konferencji wygłoszono 11 referatów i 25 koreferatów i przyczynków. Obrady uczestników odbywały się w czterech sekcjach, obejmujących problematykę stosunków polsko-czeskich od zarania dziejów aż po dzień dzisiejszy. Punktem wyjścia było tu nie tylko małżeństwo Mieszka I z Dąbrówką, która właśnie w Hradcu spotkała orszak weselny Mieszka I w 965 roku, ale okres jeszcze wcześniejszy, objęty legendą o Lechu i Czechu — dwóch braciach. Leitmotiv Lecha i Czecha występuje wielokrotnie w referacie inauguracyjnym prof. Krejczego, który na tym przykładzie dowodzi wagi i znaczenia niektórych legend w życiu narodów, podczas gdy wiele bezspornych faktów historycznych ginie bez żadnych następstw w pomroce dziejów. Istotnie, mamy przecież w naszej wielowiekowej historii fakty przeciwnego znaczenia, choćby wyprawy naszych Bolesławów na Czechy czy niszczący pochód Brzetysława na Gniezno i zabranie szczątków św. Wojciecha. Jednak fakty te nie tkwią w naszej świadomości narodowej, są jedynie martwym za-

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Wybory prezydenckie we Francji — to temat nr 1 w dyskusjach politycznych ostatnich dni. I my rozpoczniemy więc bieżący przegląd wydarzeń międzynarodowych od 5 grudnia.

Przy wysokiej frekwencji, Francuzi po raz pierwszy wybierali głowę państwa w głosowaniu powszechnym. Ta innowacja — przypomnijmy — wprowadzona została w roku 1962, kiedy to zgodnie z koncepcją de Gaulle'a 62 proc. wypowiadających się w referendum zaakceptowało tę formę.

W myśl obowiązującej konstytucji w I turze wymagana jest bezwzględna większość głosów. Jeśli ta nie zostaje osiągnięta — do drugiej stają tylko ci dwaj pretendenci do fotela prezydenckiego, którzy otrzymali największe poparcie.

I oto w niedzielę — wbrew oczekiwaniom większości zagranicznych komentatorów — de Gaulle, uważany raczej za murowanego faworyta (stratedzy generała liczyli na 54—58 proc.), nie uzyskał wymaganej w tej fazie wyborów liczby głosów i będzie musiał stanąć do balotażu.

Wprawdzie przygotowuję komentarz do druku jeszcze przed powzięciem przez niego ostatecznej decyzji — jednak z wcześniejszych pośrednich informacji można wnioskować, że weźmie on udział w II turze. Tak więc 19 dniu 19 grudnia de Gaulle stanie ponownie w szranki wyborcze.

Wynik I tury głosowania jest bardzo znamienny. Dotychczasowy prezydent doznał bowiem pierwszego niepowodzenia, tracąc głosy przede wszystkim na rzecz Mitteranda — kandydata zjednoczonej lewicy, który — jak wynika ze wstępnych obliczeń — otrzymał niemal co trzeci głos i zmierzy się z 75-letnim generałem za dwa tygodnie.

Ten sukces lewicy, zjednoczonej po raz pierwszy od roku 1946, niezależnie od rozstrzygnięć, jakie zapadną w dniu 19 grudnia, otwiera przed nią nowe perspektywy. I już dziś można stwierdzić, że następstwa tego będą z pewnością poważne. Popierając Mitteranda część wyborców wypowiedziała się przecież przeciwko władzy osobistej.

Trzeba zwrócić uwagę Czytelników na jeszcze jeden ważny aspekt wyborów: zlekceważenie kandydatów skrajnej prawicy. Nie odegrali oni żadnej roli. Francuzi wybierali jedynie między de Gaulle'em, Mitterandem i Lecanuetem (kandydatem centrum), którzy łącznie otrzymali prawie 92 proc. głosów.

Wybory prezydenckie we Francji — jak stwierdziliśmy na wstępie — skupiły powszechną uwagę. Przede wszystkim ze względu na specyficzną rolę, jaką odgrywa Francja we współczesnym świecie, a w niej od 1958 roku osoba prezydenta. I dlatego na wynik II tury oczekiwać będziemy ze wzrastającym zainteresowaniem.

Z kolei poświęćmy kilka słów innemu, choć nie nowemu, tematowi — rozszerzeniom nuklearnym NRF.

Pod tym kątem obserwowaliśmy obrady ministrów obrony 10 krajów NATO, które toczyły się w Paryżu. Niestety, uczyniono tam pewien krok we wspomnianym kierunku, wyłaniając trzy komisje które w terminie do marca przyszłego roku mają przedstawić swe sprawozdania. Ich powołanie — pisze „Figaro" — „wypływa z chęci zadośćuczynienia żądaniom krajów NATO, nie posiadających broni nuklearnej". Oczywiście, czytać by to należało: żądaniom Niemiec zachodnich...

Jednak Bonn nie wykazuje zadowolenia z decyzji paryskich. Korespondenci donoszą, że miarodajne koła NRF „przyznają obecnie, iż względy polityczne i ekonomiczne przesunęły rozwiązanie organizacji jądrowej w ramach NATO co najmniej na początek 1966 roku".

Również informację, że Johnson przyjmie Erharda nie w Waszyngtonie, jak życzył sobie tego kanclerz, lecz na swoim ranczo — usiłuje się interpretować jako niepomyślną dla Bonn, bo zapowiadającą jedynie „nie wiążącą wymianę zdań".

Wszystko to jednak nie zmienia faktu: podczas gdy Zgromadzenie Ogólne NZ bez sprzeciwu wypowiada się za zwołaniem światowej konferencji rozbrojeniowej — w żagle Bonn za sprawą Stanów Zjednoczonych wieją wiatry, kierujące NRF w stronę broni nuklearnej.

I żeby nikt nie sądził, że wyolbrzymiamy wynikające stąd niebezpieczeństwo, podczas gdy rzekomo Bonn chodzi tylko o „równouprawnienie" — zacytujmy „Combat". W dzienniku tym znaleźliśmy takie oto zdanie:

„NRF domaga się dostępu do broni atomowej, by móc wywierać szantaż w związku ze swoimi roszczeniami terytorialnymi"

Jak widać, również zachodni sąsiedzi państwa bońskiego zdają sobie doskonale sprawę, skąd się biorą nuklearne „ambicje" Bonn.

W jednym z poprzednich komentarzy obiecałem, że powrócę do wizyty brytyjskiego ministra — Stewarta w Moskwie. Słowa chcę dotrzymać...

Pięciodniowy pobyt Stewarta w Związku Radzieckim, jego rozmowy z premierem Kosyginem i min. Gromyko — śledzono z uwagą. Zainteresowanie wzbudzały zwłaszcza — i jak się wydaje one też stanowiły główny temat rozmów — zagadnienia: nierozpowszechniania broni nuklearnej i wojny wietnamskiej.

Wymiana zdań na ten temat była z pewnością pożyteczna, chociaż brak danych uskazujących na osiągnięcie postępu. Obie strony zwróciły uwagę na potrzebę kontynuowania dyskusji w sprawie układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, nie znalazły natomiast — na skutek popierającego USA stanowiska W Brytanii — punktów zbliżenia w sprawie Wietnamu.

Komentatorzy na marginesie tej wizyty, która przyniosła w stosunkach bilateralnych porozumienie o zawarciu umowy konsularnej, podejmują również sprawę ewentualnej podróży Wilsona do ZSRR.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ **Francja weszła do „klubu kosmicznego", jako trzecie po Związku Radzieckim i Stanach Zjednoczonych mocarstwo, umieszczając na orbicie okołoziemskiej satelitę A-1 wagi 42 kg przy pomocy rakiety Diamant, skonstruowanej przez francuskich uczonych. Wiadomość o francuskim powodzeniu powitana została z pewną nostalgią w W. Brytanii, która potrzebuje jeszcze co najmniej 3 lat, by móc podjąć eksperyment podobny francuskiemu.**

■ Specjalna Komisja Zrzeszenia Lekarzy Amerykańskich wysunęła propozycję zalegalizowania sztucznych poronień i sterylizacji w USA w pewnych określonych przypadkach. Obecnie w USA dokonuje się ponad milion sztucznych poronień rocznie. Lekarze zalecają, aby do wykonywania takich zabiegów upoważnione zostały specjalnie wyznaczone szpitale. Co się zaś tyczy sterylizacji, komisja zaleca aby wolno ją było przeprowadzić, jeśli zainteresowany osobnik oświadczy na piśmie, że tego pragnie, a w wypadku małżeństw, pismo takie powinno być podpisane przez oboje małżonków.

■ **W ciągu ostatnich 10 miesięcy zdezerterowało z armii południowowietnamskiej ponad 87 tysięcy żołnierzy. Stanowi to około 18 proc. całej regularnej armii. Warto odnotować, że w ciągu całego ubiegłego roku zdezerterowało 72 tysiące żołnierzy. Propaganda amerykańska tymczasem od dłuższego czasu rozpisuje się na temat wzrostu „morale" armii sajgońskiej.**

■ „Le Monde" o wrażeniach Francuzów z pobytu w CnRL w związku z otwartą tam francuską wystawą przemysłową: Ogólnie biorąc Francuzi są zachwyceni pomocą, której udzielili im miejscowi robotnicy i technicy. Uważają ich za inteligentnych, pracowitych i pełnych poświęcenia. Jedną tylko rzecz zarzucają Francuzi swym chińskim przyjaciołom — nadmiar konferencji. Gdy tylko powstaje problem — zwołuje się konferencję, a konferencja taka, zważywszy, że Chińczycy z łatwością mówią o okresach tysiąca czy dziesięciu tysięcy lat, nie trwa nigdy 10 minut, minimum wynosi 3 godziny i 10 filiżanek herbaty.

■ **Według „New York Times" ponad 200 tysięcy Jugosłowian pracuje poza granicami swego kraju, głównie w zachodniej Europie. Emigracja zarobkowa nasiliła się szczególnie po reformie gospodarczej przeprowadzonej w Jugosławii w lipcu tego roku. W 1964 roku jugosłowiańscy emigranci zarobkowi przesłali do kraju ekwiwalent wartości 60 milionów dolarów. Powracający z zagranicy przywożą ze sobą samochody i inne wyroby stałego użytku. W jednej z hercegowińskich wiosek jest obecnie zarejestrowanych 100 samochodów, to jest więcej niż krów.**

Gorąca linia

■ Rząd hiszpański wysunął ofertę przyznania krajom Ameryki Łacińskiej kredytu w wysokości 1 miliarda dolarów na okres 10 najbliższych lat i przeznaczonego na rozwój ekonomiczny Ameryki Łacińskiej.

■ **Jeden z czołowych uczonych amerykańskich dr Warren Weaver wyraził pogląd, że dążenie USA do umieszczenia człowieka na Księżycu „pod kątem wyścigu z Rosjanami... jest po prostu głupie". Realizacja tego zamierzenia kosztować ma Stany Zjednoczone 30 mld dolarów. Sposób wydatkowania tej sumy, zdaniem uczonego, jest wyrazem marnotrawstwa, kapitały te bowiem można byłoby wykorzystać do rozwiązania pilniejszych problemów naukowych.**

■ Rząd szwedzki nosi się z zamiarem wszczęcia poszukiwań nafty na dnie Bałtyku. Planuje się powołanie wielkiego konsorcjum z udziałem państwa i koncernów zagranicznych, które mają się zająć pracami poszukiwawczymi, a następnie, eksploatacja odkrytych źródeł. Już w chwili obecnej niektóre firmy szwedzkie prowadzą poszukiwania ropy lub gazu na południu kraju i na wyspie Gotlandia. Badania na Bałtyku na wielką skalę mają się rozpocząć latem 1966 roku.

■ **Podczas konferencji prasowej w Paryżu sekretarz obrony USA McNamara oświadczył, iż Stany Zjednoczone zwiększą w ciągu najbliższych 6 miesięcy ogólną ilość amerykańskich głowic atomowych znajdujących się w Europie o 20 proc. W chwili obecnej liczba tych głowic wynosi 5 tysięcy.**

■ W CSRS jedno auto osobowe przypada na 35 mieszkańców co stawia Czechosłowację na 9 miejscu w Europie. W okresie ostatniego 10-lecia liczba pojazdów mechanicznych w CSRS wzrosła o 138 proc., liczba wypadków samochodowych natomiast o 300 proc. Co siedem minut następuje jeden wypadek drogowy, co 12 minut jeden człowiek odnosi rany, co 5 godzin i 19 minut jeden człowiek ginie.

■ **Dania i Norwegia podtrzymują swe dawne stanowisko niewyrażania zgody na rozlokowanie na ich terytorium jakichkolwiek broni jądrowych.**

■ W wywiadzie dla wojskowego dziennika „Berita Yundha" minister spraw zagranicznych Indonezji Subandrio oświadczył, że stosunki między Indonezją a Chinami „natrafiają na pewne trudności". Minister stwierdził również, że rząd Indonezji zwrócił się do Chin „aby zaprzestały pewnych nieprzyjaznych nam audycji radiowych".

■ **Czy uważa Pan Borysa Pasternaka za „poetę dla starych panien" — zapytał jeden z dziennikarzy laureata tegorocznej Nagrody Nobla M. Szołochowa, podczas konferencji prasowej w Moskwie. Szołochow odpowiedział: „Nie mówi się źle o umarłych, lecz ja nie zmieniam swej opinii. Po czym autor „Cichego Donu" określił Pasternaka jako „emigranta wewnętrznego". Zapytany co myśli o Sołżenicynie Szołochow odparł: „Wszystkie utwory należące do typu pamiętników nie mogą być uznane za dzieła literackie".**

Mac-ie Majcher

■ Belgijski dziennik „La Libre Belgique" oskarża wywiad amerykański, osławioną CIA o powodowanie chaosu politycznego w Kongo Leopoldville. Dziennik ujawnia pewne pikantne szczegóły z niedawnych wydarzeń w Kongo kiedy, dziś już eksprezydent, Kasavubu zdymisjonował Czombego, mianując premierem Kimbę. Otóż po szczęśliwym dla Kasavubu głosowaniu w parlamencie, deputowani, którzy opowiedzieli się za kandydatem prezydenckim zaproszeni zostali na przyjęcie, gdzie zamiast zakąsek każdy z uczestników znalazł pod talerzem kopertę zawierającą 100 tysięcy franków kongijskich. Po czym podejmujący parlamentarzystów rzecznik strony prezydenta wygłosił przemówienie, zapewniając zebranych: „Zwyciężymy, gdyż jesteśmy najsilniejsi". Dowód: „Amerykanie nas popierają. Dali nam właśnie 25 tysięcy dolarów".

„NARCIARZE" Foto: Marek Korczak-Idziński

Zielone światło dla zielonych świateł

Dalszy ciąg ze str. 1

„on ma dorożkę...'" Znaczyło to: „on jest zamożny". Ale przyszedł rok 1939, wielu dorożkarzy wzięło udział w tym, co miało być mobilizacją, co miało być „marszem" dokądś. Nie wszyscy z tych mobilizacji i marszów wrócili. Przebiedowali okres okupacji i osiedli po wyzwoleniu na wydzielonych placykach, czekając nie na pasażera, ale na towar, którego nie zechce przewieźć szofer taksówki. W roku 1963 było ich 34, w rok później 28, w tej chwili już tylko 19 dorożkarskich koni wystukuje smutny rytm zmierzchu na łódzkich brukach.

TRAKCJA BENZYNOWA OBOK OWSIANEJ

Pierwszy samochód zaczął jeździć po Łodzi w r. 1901. Był to używany Deimler, który zarazem zainicjował zjawisko przerw w komunikacji miejskiej, powstałych skutkiem tzw. awarii. Zepsuł się przy ul. Piotrkowskiej 165 i czterech mechaników nie mogło sobie dać z tym rady. Również wtedy zrodził się kultywowany do dziś zwyczaj gromadzenia się tłumu wokół samochodu nieznanej marki. Gapie nie omieszkali poddać druzgocącej krytyce samochód i mechaników.

O wypadkach, gdy samochód jakiś zabłądził do tego miasta, pisały gazety. Pierwsze wypadki drogowe to uderzenie w słup telegraficzny na ul. Średniej oraz rozbicie przekupce kosza jaj na Zgierskiej. Przepisy regulujące ruch pojawiły się nieprędko, a pierwsze z nich rodziły się w niezbyt bujnej wyobraźni władz. Na przykład, kiedy Grohman jechał samochodem z Łasku do Łodzi, posypał się na niego w Pabianicach grad kul. Kiedy kazał się szoferowi zatrzymać, wyjaśniło się, że to strzelali „agenci policji". Najpierw „wołali na szofera o wolniejszą jazdę", a gdy to nie skutkowało, dobyli pistoletów i dokonali swoistej regulacji ruchu.

O problemie motoryzacji można już mówić w roku 1919. Policja miała wtedy jeden samochód patrolowy, a firma „Auto-Expres" uruchomiła komunikację autobusową z Nowego Rynku do Brzezin. Narzekano, że dziatwa szkolna odnosi się do samochodów niewłaściwie, gdyż rzuca na drogach szkło i żelastwo, dziurawi opony, obrzuca przejeżdżających kamieniami, opluwa jadących i wymyśla. Pod tym względem dokonaliśmy do dziś dużego kroku naprzód, bowiem „dziatwa szkolna" już nie opluwa jadących samochodów.

Pierwsze taksówki wprowadzono w roku 1911. Kierowców nazywano „woźnicami", a wysokość opłaty bywała przedmiotem targów. Jednakże o większym rozwoju tego środka komunikacji można mówić dopiero w okresie międzywojennym. W pierwszych latach właściciele większych kapitałów postarali się o wydanie przepisu zezwalającego na wypuszczanie taksówek tylko przedsiębiorcom, mającym niemniej niż 10 wozów. Właściciele pojedynczych samochodów rozpoczęli jednak walkę i z czasem ją wygrali.

Dziś instytucja taksówek pasażerskich zdradza tendencję rozwoju. W roku 1963 jeździły po Łodzi 944, w rok później — 1.005, obecnie — 1.090. Są to przeważnie taksówki prywatne. Spółdzielczych było przed trzema laty 87, potem ilość ich spadła, dziś znów podniosła się do 91.

ŻÓŁTA Z NIEBIESKIM — CZY W PASKI...

Za pierwszy środek komunikacji masowej można by uznać konny omnibus wypuszczony w roku 1881 przez bardzo ruchliwego „geszeftsmana" o nazwisku Fryderyk Selin. Omnibus jeździł między Nowym Rynkiem a Dworcem Fabrycznym w godzinach przyjazdu i odjazdu pociągów. W istocie był to bardzo skromny zalążek komunikacji masowej, a jego powstanie dowodziło raczej istnienia problemu i potrzeby. Cztery zaś lata później zyskały w świecie uznanie — tramwaje skonstruowane nieco wcześniej.

Ponieważ Warszawa miała w końcu tamtego wieku tramwaj konny, w Łodzi marzono początkowo o podobnym środku lokomocji. Nie tylko marzono! Rozpisywano przetargi, wysyłano podania, dyskutowano. Trwało to lat kilkanaście, aż w r. 1898 zdecydowano się na tramwaj elektryczny (o 10 lat wcześniej niż Warszawa). 23 grudnia 1898 r., o godz. 11 ukazały się na ul. Dzielnej dwa udekorowane wozy, w których siedzieli: gubernator piotrkowski, radca tajny Miller, dyrektor tramwajów Korecki i szereg miejscowych kacyków. Tramwaje te pojechały do Helenowa, następnie do Paradyzu i wróciły do Grand Hotelu na raut. Te pierwsze tramwaje często spadały z szyn na zakrętach, często paliły się. Z wprowadzonych początkowo czterech linii: jedynka miała tarczę podobną do dzisiejszej i jeździła od Pl. Kościelnego do Paradyzu (Piotrkowska 175). Dwójkę oznaczono czerwonym prostokątem z białą cyfrą, jej trasa wiodła z Dworca Fabrycznego na pl. Kościelny Trójkę oznaczono żółtą gwiazdą, a kursowała między Paradyzem (później — Górnym Rynkiem), a Starymi Cmentarzami. Czwórka wymalowana była biało na zielonym kwadracie i woziła pasażerów między Helenowem a Paradyzem. Dalsze linie do dziesięciu miały tarcze w innych kolorach i innych kształtach. Kiedy osiągnięto ilość linii 12, pominięto trzynastkę, bo nieszczęśliwa, a wprowadzono ją dopiero po wojnie. Były tramwaje łódzkie materiałem, z którego budowano barykady w roku 1905, były widownią częstych strajków.

Należały do spółki akcyjnej, która je eksploatowała na zasadach określonych koncesją. Artykuł 5 koncesji przewidywał, że miasto mogło w każdej chwili wykupić tramwaje, płacąc cenę równą dochodowi z ostatnich 5 lat. Artykuł ten postanowił wykorzystać pierwszy po tamtej wojnie burmistrz, Aleksy Rżewski, by miastu pozbawionemu jakichkolwiek dochodów (poza nielicznymi podatkami komunalnymi) dać to, korzystne wówczas źródło dochodu. 31 grudnia 1921 roku burmistrz wraz z innymi przedstawicielami magistratu zjawił się w zarządzie Kolei Elektrycznej Łódzkiej i zażądał sprzedania miastu całej tej instytucji. Moment był z punktu widzenia miasta korzystny, gdyż minione, wojenne 5 lat przyniosły dochód niewielki, a więc i cena byłaby niewysoka. Niestety, zamierzenia Rżewskiego nie udało się przeprowadzić.

W roku 1945 Niemcy zostawili zniszczony tabor, pozrywaną trakcję i 24 spalone autobusy. Zgłosiło się natychmiast 300 osób i tramwaje uruchomiono. Nosiły one wtedy najdłuższą w Polsce nazwę, mianowicie: Przymusowy Zarząd Państwowy Ministerstwa Komunikacji Nad Elektrycznymi Kolejami Łódzkimi (w skrócie: PZPMKSPZMNEKŁ). Najważniejsze, że ruszyły, natłoczone, obwieszone „winogronami", ale pełniły swoją funkcję. Jan Brzechwa proponował wtedy uatrakcyjnienie tramwajowych haseł, które w jego interpretacji miały brzmieć:

„Czyń tak jak inni czynią,
Kup bilet, nie bądź świnią".

„Nie tłoczcie się na pomoście,
Lecz do środka się przenoście"

„Wewnątrz wozu, pan wybaczy,
Nie ma miejsca dla palaczy."

SINE IRA ET STUDIO

Jak wiadomo oblicze urbanistyczne Łodzi uległo — w ostatnich zwłaszcza 10 latach — zasadniczej zmianie. Dawna, wyciągnięta wzdłuż ul. Piotrkowskiej Łódź — pogrubiała. Sprawiły to nowe, osiedla, rosnące jako konsekwencja faktu, że nasze budownictwo oddaje 20 tys. izb rocznie. Ale oto i druga konsekwencja: ludzie często opuszczają stare i ciasne mieszkania leżące o miedzę z zakładem pracy, a przenoszą się do odległych osiedli. Stąd codzienne i wciąż rosnące peregrynacje do i z pracy. Ilość środków komunikacji pozostawała daleko w tyle w stosunku do rozbudowy miasta. Jeżeli np. tramwaje przewiozły w roku 1960 408 milionów podróżnych, to w roku 1964 aż 491 milionów, z czego wynika, że potrzeby komunikacyjne Łodzi wzrastają o prawie 25 milionów pasażerów rocznie. Jeżeli w przytoczonym czteroleciu ilość przewiezionych przez tramwaje pasażerów wzrosła o 17 proc., to ilość taboru wzrosła raptem o 11 proc. Dla porównania: Warszawa, po której kursuje nieco więcej wagonów tramwajowych niż po Łodzi, ma za to 7 razy więcej autobusów, ma też trolejbusy, choć przecież liczba ludności stolicy nie jest 7 razy większa od liczby łodzian. My mamy 806 wagonów tramwajowych i 145 autobusów. W jakiej to pozostaje proporcji do potrzeb — wie każdy, kto tymi tramwajami i autobusami jeździ.

Plan łódzkich linii tramwajowych przedstawia sobą wysmukłego żuka, którego tułów tworzą podstawowe trasy: Kilińskiego, Al. Kościuszki, Gdańska, Piotrkowska. Od tułowia tego odchodzą długie macki, sięgające do poszczególnych osiedli. Z tych tras podstawowych korzystają prawie wszystkie linie tramwajowe, co decyduje o takim ich przeładowaniu, że lada przeszkoda powoduje „korek" i zakłócenie odczuwalne niemal w całym mieście.

Tramwaje łódzkie dysponują zaledwie 30 procentami torowisk wydzielonych z ogólnego ruchu. Znaczenie tego faktu jest następujące. Na wydzielonych torowiskach w Al. Politechniki tramwaje osiągają szybkość 19 km/godz., przy średniej w mieście 12 km/godz. Ale chodzi tu nie tylko o szybkość. Długość hamowania tramwaju jest pięć razy dłuższa niż samochodu. Wyobraźmy sobie, że samochód zajeżdża drogę tramwajowi i z jakichkolwiek powodów musi gwałtownie hamować. Powstają wtedy warunki dla uderzenia samochodu od tyłu przez tramwaj, bez winy motorniczego, a przepisy oceniają taką sytuację na niekorzyść motorniczego.

Tramwaje łódzkie mają wskaźnik wykorzystania posiadanego taboru bardzo wysoki (82,5 proc.). Dzięki temu w godzinach szczytu uruchamia się 665 wagonów tramwajowych i 91 autobusów. Środki te mają uczynić zadość zapotrzebowaniu na przewiezienie 130 tys. pasażerów na godzinę, trzykrotnie więcej niż w okresach międzyszczytowych.

Komunikacja autobusowa ma w Łodzi charakter uzupełnienia komunikacji tramwajowej. Zapotrzebowanie na ten środek jest wielkie, zaspokojenie potrzeb minimalne, tym mniejsze, że prawie połowę taboru stanowią autobusy marki „San", które od chwili pojawienia się aż do dziś dostarczają mnóstwa dowodów, że się do celów komunikacji miejskiej nie nadają.

KOMUNIKACJA — TO RÓWNIEŻ CZŁOWIEK

MPK zatrudnia 5500 osób. Z nich, w ciągu 10 miesięcy ukarano 2050 osób, tzn. 37 proc. załogi. Duży procent karalności świadczy czasami o złym poziomie karanych, czasami — o złym poziomie karzących. Na sesji Rady Narodowej radna Lass-Balcarek opisywała wypadki, kiedy motorniczowie poddają się egzaminowi przed odpowiednią, państwową komisją celem uzyskania prawa jazdy na pojazdy mechaniczne. Okazuje się czasem, że motorniczowie ze stażem — oblewają ze znajomości przepisów ruchu, a raz zdarzyło się nawet, że kandydata pozbawiono prawa prowadzenia tramwaju, gdyż wykazał tak żenującą nieznajomość przepisów. Zresztą, czasami można obserwować jak do skrzyżowania skradają się dwa tramwaje, żaden nie decyduje się na pierwszeństwo, co się tłumaczy albo brakiem znajomości przepisu, albo brakiem zaufania do kolegi.

JAK ZA BARSZCZ

Miasto dokłada do miejskiej komunikacji 100 milionów rocznie. Na zmniejszenie tej sumy nie wpłynęło nawet wprowadzenie wagonów i autobusów samoobsługowych, bowiem deficytowość wykazuje tendencję wzrostu. Patrząc na tę sprawę z innego punktu widzenia: do każdego przejazdu pasażera tramwaju miasto dokłada 13 gr., do każdego przejazdu autobusem — 48 gr. Gwałtownie wzrasta ilość przejazdów ulgowych, przejazd zaś według taryfy ulgowej kosztuje pasażera średnio około 10 gr. Tramwaje wykazywały rentowność do roku 1955. Późniejsze zmiany cen materiałów, płac i inne przy zachowaniu tych samych opłat za przejazd, spowodowały zjawisko deficytu i to deficytu rosnącego. 60 proc. kosztów pochłaniają wydatki osobowe. W opisanych warunkach zarobki personelu nie mogą być zbyt atrakcyjne, co zapewne stanowi jedną z przyczyn niezadowalającego stanu łódzkiej komunikacji.

CZARNY MIESIĄC

Tak nazwano listopad 1965 roku, w którym zanotowano zwiększoną ilość wypadków, połączonych z ofiarami w ludziach. Takie miasta jak Kraków czy Poznań mają jeszcze więcej wypadków w komunikacji miejskiej niż Łódź, ale świadomość tego zapewne nie zmniejszy w żadnym stopniu bólu tych, którzy po listopadowych czy innych wypadkach musieli przechodzić kurację w szpitalu.

W okresie od 1 stycznia br. do 15 listopada br. miało miejsce 47 zderzeń tramwaju z tramwajem — to najcięższy rodzaj wypadków, w 37 z nich stwierdzono winę motorniczego, w 9 przyczyny techniczne. W roku 1964 miało miejsce 217 zderzeń tramwajów z innymi pojazdami. Ten wskaźnik ma tendencję wzrostu, gdyż rośnie ilość tych innych pojazdów (40.200 w r. 1964). W roku 1964 tramwaje wykolejały się 381 razy. W tymże roku tramwaje na pewnych liniach stawały skutkiem tego, że zatorowały im drogę inne pojazdy — 744 razy.

Tym niemniej, jeżeli w pewnym okresie ilość wypadków w Łodzi wzrosła o 12, to 11 z nich przypadało na MPK. Również w wypadkach śmiertelnych na terenie naszego miasta 74 proc. stanowią związane z pracą MPK.

Zakłócenia w ruchu powodują oczywiście nie tylko nieszczęśliwe wypadki, ale również uszkodzenia techniczne. Z ich przyczyny w roku 1964 zjeżdżało do zajezdni **dziennie** 14,9 tramwajów, w roku 1965 — 17,4, a więc także tendencja niepokojąca.

PRZYSZŁOŚĆ KOMUNIKACJI ŁÓDZKIEJ

W Łodzi zrobiono wiele, by ją poprawić. Rozszerzono wiele ulic i narożników. To, co zrobiono z ulicą np. Uniwersytecką, co dzieje się z Zachodnią, czy Główną, to rzeczy w skali tego miasta doniosłe. Tym niemniej obraz komunikacji miejskiej jest taki, jak to z tych szpalt wynika. Im obraz ten jest gorszy, tym więcej prężności powinna wykazać dyrekcja MPK, by istniejącym trudnościom sprostać, lub je przynajmniej złagodzić. W bardzo ciężkim wypadku, jaki miał miejsce pod Aleksandrowem, okazało się, że brak tam było automatycznej sygnalizacji świetlnej. Dlaczego? Jest to urządzenie proste technicznie i tanie. Czytałem w informacji Prez. RN, że podjęto w Łodzi akcję automatyzacji zwrotnic. „Na ogólną ilość przewidzianych do zautomatyzowania 114 zwrotnic — wykonano **JUŻ** 46" (podkr. moje — J. U.). To dziwne. Jest to akcja, którą zapoczątkowano w latach zdaje się dwudziestych.

Znaczną część winy przypisuje się brakowi taboru tramwajowego i autobusowego. Co do braku autobusów — sprawa jest bezsporna. Łódź — miasto z tak chorobliwym kształtem urbanistycznym, jaki otrzymała w spadku od jej twórców, a jednocześnie — miasto mające tak wielki udział w potencjale przemysłowym Polski, ma sparaliżowane możliwości komunikacji z miejscami pracy — brakiem autobusów. Głównie autobusów. Podkreślam ten moment dlatego, że zwiększenie taboru tramwajowego na istniejących torach może zwiększyć trudności, a nie zmniejszyć. W stosunku do ruchu pojazdów mechanicznych przyjęto w Łodzi zasadę: stworzyć cały szereg równoległych arterii, by zwiększyć przelotowość przez miasto. Dlaczego tej zasady nie przyjmuje się w stosunku do tramwajów. Kiedy 30 lat temu miały one 13 linii, jeździły wzdłuż osi miasta **po trzech torach:** Kilińskiego, Piotrkowska, Gdańska. Kiedy ma 27 linii miejskich, wszystkie one jeżdżą **po trzech torach:** Kilińskiego, Al. Kościuszki, Gdańska. Łódź nie ma linii obwodowej. Wszystkie tramwaje jeżdżą przez śródmieście. Planuje się budowę linii na wschodzie i zachodzie w stosunku do śródmieścia, ale mają to być linie kawałkami łączące niektóre z osiedli. Linii okólnej, pozwalającej na ominięcie zakorkowanego śródmieścia w dalszym ciągu nie będzie. Jako jedną z przyczyn takiego stanu podaje się linię kolejową przecinającą ulicę Kopcińskiego. A przecież można sobie wyobrazić linię biegnącą po wschodniej stronie Łodzi, mającą krańcówkę po jednej stronie toru kolejowego, a drugą krańcówkę, po objechaniu miasta — tuż obok, po drugiej stronie tegoż toru.

Biorąc pod uwagę planowane dostawy taboru dla Łodzi, miasto to ma mieć w r. 1970 846 wagonów tramwajowych i 218 autobusów. Posiadanie takiego taboru dziś, łagodziłoby istniejącą sytuację. Za pięć lat — stan chyba będzie jeszcze bardziej krytyczny, nawet jeśli dokonana zostanie jakaś rozsądna reorganizacja naszej komunikacji. Najbardziej racjonalnym środkiem komunikacji w Łodzi wydaje się na najbliższą przyszłość — autobus. **Warszawa ma ich siedem razy więcej niż Łódź.**

JERZY URBANKIEWICZ

Czas na Dąbrówkę

Dalszy ciąg ze str. 1

pisem historycznym. Natomiast legenda o Lechu i Czechu stale wraca jako myśl ciągle żywa, postulując niejako zacieśnienie współpracy i wzajemnego porozumienia.

Nie znam przebiegu obrad we wszystkich sekcjach, te jednak, w których brałem udział — mimo intencjonalnego dążenia do zgodności poglądów — i wielkiej uprzejmości czechosłowackich uczestników konferencji, ujawniły znaczne rozbieżności pomiędzy polskim i czeskim punktem widzenia na szereg kwestii z okresu niewoli, I wojny światowej, a nawet najnowszej doby. Co więcej, różnice te występują nawet w pojmowaniu tych samych zjawisk ideologicznych abstrakcyjnej wręcz natury, jak np. w ocenie polskiego mesjanizmu itp. Bodajże najbardziej konkretnie zarysowała się odmienność stanowisk polskiego i czeskiego w stosunku do sytuacji na Śląsku Cieszyńskim, zarówno w okresie tworzenia się narodowych ośrodków czeskich i polskich w końcu XIX wieku, jak i na tle późniejszego podziału Śląska Cieszyńskiego na część polską i czeską. Wyszły tu na jaw odmienne uwarunkowania historyczne, w jakich kształtowała się polska i czeska myśl polityczna. Czescy historycy wskazują na duży ruch imigracyjny Polaków z Galicji na Śląsk, polscy natomiast — przechodząc nad tym faktem do porządku dziennego — śledzą raczej narastanie polskiej świadomości narodowej. Na szczególną uwagę pod tym względem zasługuje koreferat dr Chlebowczyka ze Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, który podnosi sprawę tarć między młodymi ruchami polskim i czeskim i ich sporów o język w kościele i w szkole w II połowie XIX wieku, zwracając uwagę na czechizację odrębnych językowo regionów frydeckiego, ostrawskiego i bogumińskiego. Inny z koreferatów sygnalizuje cofanie się polskiej świadomości narodowej w niektórych środowiskach polskich w Ostrawskiem. Dla czeskich uczonych kwestia granicy na Śląsku Cieszyńskim, a szczególnie w czasie kryzysu 1938 roku, jest funkcją narastania faszyzmu w Polsce, co szczególnie mocno zostało wyeksponowane w pracy Romana Prasila pt. „Kraj kde tece Olza", wydanej w tymże jubileuszowym roku w Karwinie. Własny pogląd na ten problem referowała również St. Stanisławska autorka „Wielkiej i małej polityki Józefa Becka".

Według zamierzeń organizatorów konferencji, którymi są wyższe uczelnie okręgu północnomorawskiego — podobne spotkania uczonych mają się odbywać w Hradcu co 5 lat. Obrady tej pierwszej konferencji zostały zamknięte szeregiem konkluzji o charakterze programowym i metodologicznym, z których te pierwsze zacieśnią wachlarz zagadnień i pozwolą na gruntowniejsze ich przygotowanie, te drugie zaś — uściślą płaszczyznę rozpatrywanych spraw. Bo jednak w 11 nawet najszerzej potraktowanych referatach nie można zamknąć tysiąclecia!

3.

Hradec pod Opawą jest dobrym miejscem spotkań. Tędy biegł Szlak Bursztynowy przez Bramę Morawską ku Bałtykowi z odgałęzieniem na Ruś Kijowską przez Racibórz i Kraków. Tutaj więc zapewne „dwa dwory: czeski i polski — jak pisze Kraszewski — po raz pierwszy zbliżyły się ku sobie przyjacielsko, podając sobie dłonie". Jakkolwiek miejsce spotkania nie zostało historycznie dowiedzione, to jednak legenda wiąże je z Hradcem i dlatego też tutaj została wmurowana tablica pamiątkowa w dniu 18 lipca br. na inaugurację obchodów Tysiąclecia. Rozległy kompleks zamkowy składa się z dwóch zamków: wyżej położonego tzw. białego zamku w stylu neoklasycznym na fundamencie romańskim oraz tzw. czerwonego zamku w stylu pseudogotyckim z XIX wieku. Ostatnim feudalnym właścicielem Hradca był ks. Lichnowski, do którego należało też 9 tys. ha gruntów i zamki w Chuchelnej po czeskiej stronie oraz Krzyżanowice — po stronie polskiej. Z większych wydarzeń świeższej doby można odnotować pobyt Beethovena w 1806 i 1811 roku oraz pobyt Liszta w 1846 i 1848 roku. Obecnie w salach białego zamku mieści się największe w Euronie muzeum lutnicze, w którym wśród wielu instrumentów strunowych i pozytywek znajduje się fortepian Erarda w Paryżu, specjalnie wykonany i przysłany dla Beethovena. Tutaj też powstała IV Symfonia, koncert skrzypcowy D-dur i została dokonana ostateczna korekta „Appasionaty". Nie z miłości do Mieszka czy Dąbrówki, ani z radości dla ich związku robił to austriacki magnat. Przeciwnie, kazał wmurować tablicę dla upamiętnienia poniesionej tu porażki przez naszego Bolesława Śmiałego. Lecz za to obecnie — widocznie na pamiątkę tak szczęśliwie zawartego małżeństwa — w jednej z sal tego zamku pod żyrandolem wagi 1 tony mieści się pokój ślubów. Według najnowszego podania żyrandol ten spadnie na głowę temu, kto złoży wiarołomne przyrzeczenie małżeńskie. Jak dotąd, żyrandol jeszcze wisi.

W 50 salach białego zamku mieszczą się dzieła sztuki z XIV—XIX wieku, wśród nich 93 obrazy, z których najcenniejsza jest Madonna między św. Jakubem i św. Markiem z XVI w. pędzla Julia Pippi Romano. Jeden z korytarzy obwieszony jest miedziorytami znanego nam z wedut warszawskich Canaletta. Biblioteka zamkowa zawiera ok. 20 tys. tomów, głównie z zakresu sztuki i historii muzyki. Ten obiekt zabytkowy należy do najbardziej uczęszczanych miejsc w północnych Morawach. Zostanie on jeszcze wzbogacony o amfiteatr u podnóża góry obliczony na 60 tys. widzów.

W jednej z sal czerwonego zamku pod strzelistym stropem gotyckich kwater odbyła się wspólna wieczerza uczestników konferencji, urozmaicona winem, toastami i orkiestrą. Przy pewnej dozie wyobraźni i znacznie większej — wina, mogło się zdawać, że to jubileuszowe wesele Dąbrówki i Mieszka. Tym bardziej, że wśród uczestników było kilka interesujących małżeństw polsko-czeskich. Kiedyś Aleksander Macedoński wyprawił wspólne weselisko dla 10 tysięcy swoich oficerów i co najprzedniejszych Azjatek, zakładając w ten sposób podwaliny dla kultury hellenistycznej aż po Indus. Co byśmy powiedzieli na 10 tysięcy Mieszków i Dąbrówek na zapoczątkowanie drugiego tysiąclecia między Polską i Czechosłowacją?

Tablica pamiątkowa na tysiąclecie spotkania Dąbrówki i wysłanników Mieszka.

4.

Na zakończenie konferencji Teatr Śląski w Opawie dał galowe przedstawienie „Halki" Moniuszki, jak dotąd, najlepszego, a może i jedynego naszego twórcy realizmu socjalistycznego. W roli tytułowej wystąpiła solistka Opery Warszawskiej, Bożena Kinasz-Mikołajczak. Uroczysty charakter spektaklu podkreślała obecność przedstawicieli dyplomatycznych i odegranie hymnów państwowych obu krajów.

Z wielkim wzruszeniem oczekiwali polscy widzowie otwarcia kurtyny. Lecz spotkało ich coś w rodzaju zawodu. Zamiast kipieli barw, konfederatek, wąsów, karabel — ukazała się scena w jednolitej prawie tonacji czarno-niebieskiej, w niebieskiej ramie powleczonej ludowymi wzorami kukiełek, z niebiesko-czarnym korowodem poloneza, ledwie tu i tam przetkanym żywszą barwą tłumu weselnego. Jedynie narzeczona Janusza wystąpiła w różowej sukni, nie nazbyt zresztą wyodrębniającej się od całości. Zapewne niejeden z polskich widzów oglądał w kraju lepsze przedstawienie „Halki", ale każdy musiał sobie zdawać sprawę, że to przedstawienie jest bez porównania ważniejsze.

Pierwszą większą satysfakcję artystyczną dało ukazanie się Halki, Bożeny Mikołajczak, która szybko podbiła serca wszystkich widzów, zarówno wdzięcznym głosem jak i sugestywną siłą swej gry. Tylko nieubłagana logika moniuszkowskiego dramatu utrzymała serce Janusza w zatwardziałej obojętności wobec uwiedzionej dziewczyny, a związąła go z Zofią, chociaż ta pozbyła się w międzyczasie resztek czerwieni i wystąpiła tym razem w świetlistej bieli. Wzruszenie ogarnęło całą salę, która spontanicznie stanęła po stronie Halki. Cóż, kiedy reżyseria konsekwentnie doprowadziła sprawę do katastrofy. Tak, że nasza Dąbrówka prócz aplauzu — nic tu nie wskórała. Natomiast widzowie polscy wskórali przekonanie, że polska twórczość dramatyczna mogłaby mieć duże powodzenie na czechosłowackich scenach — pod jednym warunkiem: aby częściej po nią sięgali czechosłowaccy dyrektorzy i reżyserzy. Jak dotąd triumfy święcił tu Bałucki, obecnie w modę wchodzi Mrożek. Sądzę, że w polskiej dramaturgii znalazłoby się jeszcze kilka niezłych nazwisk...

5.

Dla polskich uczestników konferencji (z Łodzi i województwa 22 osoby pod kierownictwem dyr. Krystyny Kondratiuk) stanęły otworem skarby czeskiej kultury narodowej najpierw w Opawie, później w Pradze. Istotnie trzeba podziwiać bogactwo i przepych muzeów i kościołów, galerii i skarbców czechosłowackiej stolicy. Największe bodaj wrażenie robi synagoga z XII wieku w stylu gotyckim i Laterna Magika, łącząca teatr z filmem — w oryginalnym stylu własnym zespołu tego Teatru — Filmu. Dreszcz grozy i podziwu na przemian wzbudza wariacja „Karkołomna jazda", przedstawiająca pełen furory zjazd na rolkach ze schodów starej Pragi, a następnie jej ulicami — pośród ruchu samochodowego. Jest to na pewno lepsze od Doktora Fausta, znanego z Polskiej Kroniki Filmowej. Jest tylko jedno „ale" w stosunku do tego programu. Komentarz — w żywym planie — jak zresztą i program są podane w językach: czeskim, francuskim, angielskim, niemieckim, i rosyjskim. Dla polskiego widza rzucający się w oczy jest brak polskiego komentarza. Dlaczego? Zupełnie się zgadzam, że język polski nie jest językiem światowym i podobne odczucie może być poczytane za bezprzedmiotowe uroszczenie. Ale są inne fakty tego samego znaczenia. Oto w naszym pasie przygranicznym po czechosłowackiej stronie można rozmawiać po niemiecku, rosyjsku i węgiersku, ale znowu nie po polsku. Jednym słowem — bez względu na kombinację językową, w żadnej z nich nie wystąpi język polski, choćby chodziło tylko o pas przygraniczny przylegający bezpośrednio do polskiego obszaru państwowego i etnicznego. Znów pytanie: dlaczego? Jedyny polski napis, który ujrzałem w pewnym domu towarowym w Pradze brzmiał: upominki. Ja rozumiem, że czeska biżuteria jest wspaniała, posiada 200.000 wzorów i jest sławna na cały świat. A także i czeskie buty, z których chętnie korzystają Polacy i ja także. Ale wydaje mi się, że jest to stanowczo za mało. Lecz dość tych uwag choć dowodzą one, jak sądzę, znaczenia i potrzeby konferencji naukowej w Hradcu. Oby orszaki polskich i czeskich dworzan, uczonych, polityków, artystów, harcerzy spotykając się „zbliżyły się ku sobie, przyjacielsko podając sobie dłonie".

APOLONIUSZ ZAWILSKI

TERESA ZWIERZCHOWSKA

W poszukiwaniu STRACONEGO CZASU

Samochód „Warszawa" nie jest zbyt wybredny. Ten doskonały wóz terenowy sforsował niejedną polną drogę, tej jednak nie może pokonać. Przednie koła zaryły się w wyrwie, tył zarzucił i wóz ustawił się w poprzek wąskiej drogi obrzeżonej wysoką skarpą. Ani go wypchnąć, ani go wykręcić. Nie ma rady, trzeba wołać pomocy.

Rozglądamy się wokoło. Wszędzie jesienne, puste pola, smutek i nostalgia. Przed nami w odległości stu metrów jakaś ludzka postać. Posuwa się wolno, mijając wyrwy i kałuże. Idzie nie interesując się wcale tym co dzieje się za plecami.

— Hej, gospodarzu!

Postać ani drgnie, zajęta wyłącznie tym co dzieje się pod jej nogami.

— Zawołajcie „proszę pana" — radzi kierowca.

— Proszę pana!

Przystaje, odwraca się nieśpiesznie, patrzy wyczekująco. Nie ma innej rady, idę po błotnistej drodze. W miarę zbliżania się odróżniam sumiaste wąsy, siwiejącą czuprynę, gumowe, wysokie buty, drelichowe spodnie.

— Czy to jedyna droga do Nart?

— Druga jest, ale nie lepsza.

Bojąc się, że odejdzie i stracimy dodatkową parę rąk, proszę: — Możecie nam pomóc?

— Czemu nie?

„Warszawa" powoli wygrzebuje się z wyrwy i ustawia na czystym odcinku drogi.

— Jedziemy dalej? — pytam kierowcy, znając zresztą odpowiedź. Tę drogę do wsi Narty chcieliśmy sforsować dwukrotnie w tym deszczowym roku. Nie udało się, a więc teraz albo nigdy.

— Pojedzie pan z nami?

Nasz pomocnik nie kwapi się jednak.

— A po co?

— Będzie szybciej.

— Mnie ta się nie spieszy...

Jedziemy więc sami, komentując wydarzenie. O Nartach wiemy już co nieco od byłego prezesa Powiatowego Związku Kółek Rolniczych w Rawie Mazowieckiej, Tadeusza Kwiatka. To on właśnie rozpalił naszą ciekawość.

Wieś Narty to nie jest bowiem taka sobie zwykła wieś. To dawna wieś szlachecka. Same nazwiska na „ski". Jej mieszkańcy nie uznają żadnych zmian. Dla nich czas zatrzymał się w miejscu. Im stawali się biedniejsi tym rozpaczliwiej czepiali się przeszłości. Żyją wciąż w epoce Polski szlacheckiej, odgrodzeni od świata, zamknięci w swoim getcie. Żaden mieszkaniec wioski Narty nie miał prawa żenić się z prostą chłopką. To poniżej szlacheckiej godności. Żenili się między sobą, a gdy brakowało kandydatki lub kandydata równego urodzenia pozostawali w stanie bezżennym. Kawalerskie lub staropanieńskie gospodarstwo, to jak wóz ciągniony przez kulawego konia. Małżeństwo na wsi to nie tylko uświęcone obyczajem stadło dwojga ludzi, to nieodzowna wspólnota w walce o byt, to dzieci, które od najmłodszych lat stanowią bezpłatną siłę roboczą. Sam jeden człowiek nie da rady na hektarach. A gospodarstwa tu niemałe, jak przystało na szlachciców. 15 i więcej hektarów. A poza tym ta mentalność; sam sobie jestem panem i co komu do tego jak chałupa nie jego? Dostawy, obowiązki? Kto to wymyślił? Trzeba przyznać, że są konsekwentni. W czasie okupacji też uważali, że to co się działo wówczas nie może ich dotyczyć.

Przyjeżdżały do Nart ekspedycje karne, bo nie odstawiali kontyngentów. Kilku zabrano do więzienia. Odsiedzieli co swoje i wrócili tak jakby nic się nie zdarzyło. Tylko jeszcze bardziej zacięli się w uporze, otoczyli nieufnością.

Oto są właśnie Narty. Nie jest to wypadek całkiem odosobniony. Można jeszcze spotkać wioski zachowujące podobne tradycje. Nie słyszałam jednak, aby gdziekolwiek ludzie byli tak ślepi i głusi na mijanie czasu, tak uparci w swoim zatraceniu.

Tyle wiem o Nartach ze słyszenia. Jedziemy na konfrontację. Stan dróg mówi, że nie jesteśmy tu pożądanymi gośćmi. Mimo to upór zostaje nagrodzony.

Przed nami Narty. Stajemy na wzgórku pod krzyżem by „cyknąć" zdjęcie. Słońce wyjrzało zza chmur. Jest złociście i sielsko. Wioski mało co widać. Słomiane strzechy giną wśród drzew i krzewów, które nabrały już złotawej barwy. Przed nami rozległa dolina, otoczona półkolem lasu, który ciągnie się ponoć aż do Żyrardowa.

Na polach nieśpiesznie krzątają się ludzie. Zgięci wpół zbierają ziemniaki za konną koparką. Ich ruchy są powolne jak na filmie puszczanym na zwolnionych obrotach. Ten brak pośpiechu ma swoje widoczne konsekwencje. Więcej tu niż na mijanych uprzednio polach nie zaoranych, rudych ściernisk. Oziminy jeszcze nie powschodziły.

Zjeżdżamy z górki do wsi wymijając ostrożnie wyrwy i kałuże. Ziemia tu też jakaś inna, siwa, iłowata, wygląda na żyzną, a w gruncie rzeczy pod cienką warstwą ciężkiego iłu już tylko sam piasek. Ten ił sprawia właśnie, że najmniejsze choćby opady pozostawiają kałuże. Woda nie mogąc przeniknąć przez warstwę mazistego iłu stoi tak długo póki nie wypije jej słońce.

Ił plus zdradliwe, bo niewidoczne pod lustrem wody wyrwy — trudno wyobrazić sobie lepszą, naturalną zaporę dla pojazdów mechanicznych.

Widocznie jednak mieszkańcom dogadza taka „granica naturalna" wokół wioski, bo nie kwapią się naprawić drogi.

Na zebranie w sprawie drogi, spośród 50 mieszkających tu gospodarzy, przyszło tylko pięciu.

Mówi mi o tym sołtys Tadeusz Suchecki.

W powiecie wystawiono mu jak najlepszą opinię. Rozsądny, opanowany, chciałby jak najlepiej, ale jest bezsilny wobec biernego oporu swoich podopiecznych.

Rzecz znamienna. Gdy jego ojciec osiedlał się w Nartach w roku 1924 on tylko i sąsiad Borowiec byli chłopami. Stali zawsze trochę na uboczu, z dala od szla-

DE GAULLE U STALINA

Mam przed sobą nie przetłumaczony dotychczas na język polski trzeci tom wspomnień de Gaulle'a pt. „Le Salut. 1944—1946". Część tej pracy dotyczy stosunków francusko-radzieckich i francusko-polskich.

Jest właśnie koniec listopada 1944 roku, de Gaulle udał się z towarzyszącymi mu osobistościami z oficjalną wizytą do Moskwy. De Gaulle tak o tym pisze:

„Nasze pierwsze spotkanie odbyło się na Kremlu 2 grudnia. Winda wyniosła nas na długi korytarz, po obu stronach którego stali liczni wartownicy. Na końcu korytarza znajdował się duży pokój ze stołem pośrodku i krzesłami. Do środka wprowadził nas Mołotow i zaraz potem zjawił się marszałek Stalin. Po wymianie zdawkowych komplementów zajęliśmy miejsca. Przez cały czas Stalin bez względu na to czy mówił, czy tylko słuchał, miał cały czas głowę spuszczoną i rysował na papierze jakieś hieroglify".

Podczas tej pierwszej rozmowy obaj mężowie stanu poruszyli kapitalną dla nas kwestię granic zachodnich. De Gaulle tak o tym wspomina:

„W pewnej chwili Stalin zapytał jakich gwarancji życzyłaby sobie Francja na jej wschodnich krańcach. Kiedy podniosłem sprawę Renu, Saary i Zagłębia Ruhry, Stalin odparł, że rozstrzygnięcie tego problemu może być przestudiowane jedynie w gronie Wielkiej Czwórki. Odwzajemniłem się pytaniem o wschodnie granice Niemiec. Odpowiedział kategorycznie — „Dawne ziemie polskie, Prusy Wschodnie, Pomorze i Śląsk muszą wrócić do Polski". — A więc — powiedziałem — granica na Odrze? — Na Odrze i Nysie — sprecyzował Stalin. Dałem do zrozumienia, że nie wnosimy zastrzeżeń do takich zmian terytorialnych, które mogłyby w jakiejś mierze przyczynić się do uregulowania drogą rekompensaty wschodnich granic Polski".

6 grudnia o godz. 18 odbyło się na Kremlu drugie spotkanie de Gaulle'a ze Stalinem. Dokładny stenogram rozmowy z tego spotkania jest załączony w aktecie „Documents". Zapisu dokonali Roger Garreau i Maurice Dejean. Miejsca opuszczone, nie odnoszące się bezpośrednio do spraw polskich są w tym tłumaczeniu wykropkowane.

„Documents" strona 367:

De Gaulle — O to spotkanie prosiłem. Podczas pobytu w Moskwie chcielibyśmy przedyskutować całość zagadnień, które stawia przed nami dzień dzisiejszy, a które także jutro nie stracą na aktualności. Zależy nam na tym, aby usłyszeć pana opinię w kwestiach, co do których chcielibyśmy wyrazić również własny pogląd. Jeśli pan, oczywiście, tego zechce.

Stalin — Proszę bardzo.

De Gaulle — Przedstawiliśmy panu projekt paktu, który w jakiś sposób wiąże się z posunięciami, jakich mogłaby dokonać Francja i Związek Radziecki dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa ze strony Niemiec. O tym właśnie dyskutujmy, ale w związku z tym wyłaniają się pewne kwestie, które chcielibyśmy wyświetlić. Pozwolę sobie na jasne sprecyzowanie kilku pytań. Co powiem, będzie szczere i otwarte. Istnieje problem Polski. Przy tej sposobności cofnę się nieco w przeszłość. Marszałek Stalin na pewno wie, że wskutek działania wielu czynników cywilizacyjnych, religijnych, politycznych itd. Francja i Polska są ze sobą związane wspólnym sentymentem.

Stalin — Wiem o tym.

De Gaulle — Przez długi okres czasu Francja usiłowała zachować niezależność Polski w obliczu jej sąsiadów. Nie udało się. Polska zniknęła. Francja dążyła po ostatniej wojnie do tego, aby mieć u swego boku Polskę zdolną do przeciwstawienia się Niemcom. Taki cel przyświecał naszej polityce, kiedy Francja przyczyniła się po 1918 roku do utworzenia niezależnego państwa polskiego. Wiemy jakie były konsekwencje polityki uprawianej przez Polskę między wojnami. Polityka Becka i ludzi, którzy go otaczali bardzo nam nie odpowiadała. Stwarzała duże niebezpieczeństwo dla nas i dla was. Doskonale rozumiemy groźbę, jaka mogłaby się wyłonić dla Związku Radzieckiego, gdyby Polska miała kontynuować tę samą politykę wobec Niemiec zwyciężonych w tej wojnie. Zdajemy sobie sprawę, że Niemcy zawsze tego chciały, aby Polska prowadziła wygodną dla nich politykę.

Stalin — Niemcy chcą połknąć Polskę, zawsze tego chciały.

De Gaulle — Przedtem będą się starać o to, aby wykorzystać Polskę dla własnych celów. My, Francuzi, jesteśmy zainteresowani w stworzeniu takich warunków, by Niemcom już się to nie powiodło. Taka jest prawda i przywiązuję wagę do tego, by jasno o tym powiedzieć. Nie jesteśmy przeciwni koncepcji wysuniętej przez marszałka Stalina już uprzednio (2 grudnia) w sprawie zachodnich granic Polski. Jesteśmy przekonani, że takie rozwiązanie wykluczyłoby możliwość porozumienia między Niemcami a Polską.

Stalin — Ma pan rację.

De Gaulle — Gdyby przesunięcie granic Polski na Zachód miało współdziałać w rozwiązaniu problemu jej wschodnich granic, wówczas taką decyzję poparlibyśmy jeszcze bardziej.

Stalin — Wschodnia granica Polski została zatwierdzona przez Clemenceau. To linia Curzona.

De Gaulle — Nie mamy żadnych obiekcji do linii Curzona pod warunkiem, że Polska uzyska rekompensatę na Zachodzie.

Stalin — Jest rzeczą konieczną, by Polska otrzymała zachodnie terytoria. O to postara się już nasza armia.

De Gaulle — Uważamy, że Polska powinna być krajem niepodległym, jak to zresztą już przyznał również marszałek Stalin.

Stalin — Oczywiście, pod tym względem nie może być żadnych wątpliwości.

De Gaulle — Powtarzam, jesteśmy gotowi użyć naszego wpływu, aby skłonić Polaków, wszystkich Polaków, do porozumienia się między sobą, zaakceptowania nowych granic i przyjęcia wobec Francji i Związku Radzieckiego postawy szczerze przyjacielskiej.

Stalin — Zrozumiałem. Postawił pan pytanie, teraz kolej na mnie. Czy mógłbym spytać, cóż to takiego blok zachodni?

De Gaulle — Czy mógłbym zapytać, co pan rozumie pod tym określeniem? No tak, mówiono o takim bloku. My Francuzi, jesteśmy Europejczykami. Wzbraniamy się przed podziałem Europy na drobne części. Idee bloku zachodniego, wschodniego, południowego, północnego wydają się nam bezwzględnie szkodliwe... Właściwie nie powinno być w Europie innego bloku, prócz bloku ludzi zainteresowanych tym, by Niemcy nie mogły wznowić agresji. Dlatego też pierwszym paktem, jaki Francja zaraz po wyzwoleniu proponuje jakiemukolwiek mocarstwu, jest pakt, który proponujemy panu. Jest również faktem, że naszymi sąsiadami są Belgia, Holandia, Luksemburg, Włochy. Z tymi państwami powinniśmy zawrzeć pewne układy, gdyż żyjemy w bezpośrednim sąsiedztwie. Będziemy musieli na tej samej zasadzie ułożyć również nasze stosunki z Wielką Brytanią. Jednakże to wszystko nie starowi jakiegokolwiek bloku ani żadnej grupy państw, które by chciały odseparować się od reszty i działać a fortiori na waszą niekorzyść.

Stalin — Przepraszam, jeśli postawiłem zbędne pytanie, wprowadzając tym pana w kłopotliwą sytuację. Ale mam w pamięci deklarację złożoną przez M. Pierlot, według której taki blok już istnieje.

De Gaulle — Co ma oznaczać ta deklaracja?

Stalin — Nie wiem. Właśnie o to pytam. Myślałem, że pan jest lepiej zorientowany.

De Gaulle — ...Chcielibyśmy dla wspólnego bezpieczeństwa utworzyć blok Moskwa — Paryż — Londyn. Wszystko inne to jedynie porozumienie o lokalnym charakterze...

Stalin — Rozumiem. Generał de Gaulle wspomniał już przedtem o pakcie wzajemnej pomocy i bezpieczeństwa. Sądzę, że pewnego dnia moglibyśmy taki pakt zawrzeć. Co się tyczy Polski, to generał de Gaulle zapewne dobrze wie, że ten kraj dwukrotnie w ciągu 30 lat był wykorzystany przez armię niemiecką, jako rodzaj korytarza do napaści na Rosję. Tego dłużej tolerować nie można. Korytarz trzeba zatrzasnąć. Sama Polska winna zamknąć ten korytarz. Tego korytarza nie da się zamknąć od zewnątrz. Dlatego potrzebna jest Polska silna, niezależna i demokratyczna. Żadne państwo nie może być silne, jeśli nie jest demokratyczne. Jesteśmy zainteresowani w istnieniu silnej Polski. Takiej Polski nikt nie zaatakuje. Chodzi o wielki przełom w naszych stosunkach i polityce. Do czasu tej wojny Polska i Rosja żyły w stanie konfliktu. Na przestrzeni wieków Polacy zajęli Moskwę dwukrotnie. Po dwustu latach Rosjanie zajęli dwukrotnie Warszawę. To oczywiście wywarło swoje reperkusje na kształtowanie się stosunków rosyjsko-polskich. Chcielibyśmy położyć temu koniec. Dobrą lekcją w tym zakresie była ostatnia wojna. Najpewniejsza gwarancją bezpieczeństwa wobec niemieckiej groźby jest dla Polaków i Rosjan obopólna przyjaźń. Najbardziej postępowe środowiska polskie akceptują właśnie ten punkt widzenia. Taka jest baza nowych polsko-rosyjskich stosunków. Historia dowiodła, że przyjacielem i protektorem niepodległej Polski jest właśnie Francja. Na tym polega różnica w stosunku Francji oraz innych mocarstw, do Polski. Polacy o tym wiedzą. Mają powody, by przypuszczać, że Francja zajmie w stosunku do nich postawę bardziej przychylną niż Wielka Brytania i USA. Chciałbym przypomnieć, że na to liczyłem i liczę... Politycy, którzy schronili się w Londynie, bawią się w ministrów. Inna grupa, w Lublinie, wykonuje robotę. Zrealizowała reformę rolną podobną do tej, jakiej Francuzi dokonali już pod koniec XVIII wieku — stanowiącej zresztą fundament francuskiej potęgi. Jest więc różnica między tymi dwiema grupami. Jedna jest potrzebna, druga jest niepotrzebna. Dlatego rząd radziecki ułożył bardzo pomyślnie swoje stosunki z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. Sądziłem, że Francja zrozumie to łatwiej i szybciej niż Wielka Brytania i Ameryka. Nie wątpię zresztą, że z biegiem czasu Wielka Brytania i Ameryka też zrozumieją ten punkt widzenia.

De Gaulle — Czy ma pan informacje o rzeczywistych nastrojach ludności polskiej?

Stalin — Śledzę, obserwuję.

De Gaulle — ...Powtórzę jeszcze raz, co już powiedziałem na początku naszej rozmowy. Jeśli Francja dysponuje rzeczywiście jakimś wpływem na Polaków, użyje tego wpływu, by ich zjednoczyć w przyjaźni do Francji i Związku Radzieckiego...

Stalin — Słyszałem, że generał de Gaulle musiał zrezygnować wskutek złej pogody z odwiedzenia pułku „Normandie". Wyraził pan życzenie, by lotnicy przybyli do Moskwy. Będą tu na miejscu już wkrótce.

De Gaulle — Dziękuję panu.

Stalin — Nie ma za co. To nie sprawiło nam żadnej trudności.

Przygotował: JAN BĄBIŃSKI

checkiej społeczności, a że nie byli mniej zamożni, śmiali się w duchu z pychy sąsiadów, traktując ich szlacheckie fumy z pobłażliwym dystansem. Dzięki temu właśnie zachowali zdrowy rozsądek i zawsze trzeźwo oceniali sytuację. Gdy pytamy o szlacheckie tradycje mieszkańców Nart w oczach sołtysa zapalają się ogniki wesołości. Zamiast odpowiedzi lekceważące machnięcie ręką.

— Kto tam wie jak naprawdę było... We wsi opowiadają, że kiedyś nocą przejeżdżał tędy jakiś hrabia. Jego powóz ugrzązł w błocie, wysłał więc ludzi do najbliższej wioski z prośbą o pomoc. Mieszkańcy Nart powóz wyciągnęli, a hrabiego nakarmili i przenocowali. Za tę pomoc i gościnność hrabia uszlachcił mieszkańców wioski.

Z tym ugrzęźnięciem to by się zgadzało. Może stąd taki nieprzemijający sentyment do złych dróg?

Bo dokumentów potwierdzających legendę o szczodrobliwym hrabiczu nie ma. Ponoć ten i ów chowa jeszcze dyplomy w kuferku, ale nikt ich nie widział, a gdy o tym mowa mieszkańcy okolicznych wiosek śmieją się tylko: — Może i były jakie papirki, ale kury je zapaskudziły.... Jeden Burchacki ten to ma herb: rogi kozła, ale to nie hrabia tylko druga żona tak go uszlachciła... A Gurbski też szlachcic bo go po urodzeniu tata wzięli za nogi i za stodołą nadali szlachectwo bijąc w goły tyłek.

Używają sobie sąsiedzi na nartowskiej „szlachcie drążkowej" i jest to taki mały odwet za to, że tamci traktowali ich wzgardliwie jako niżej urodzonych i nie chcieli żenić się z ich córkami. Ale na nic im to wyszło. Taki Szymanowski na przykład trwał uparcie w kawalerskim stanie, aż ojcowiznę zmarnował i dopiero jak skończył 63 lata wziął sobie żonę — chłopkę, ale pewnie za późno już było dla niego, bo w dwa lata po ślubie przejechał się na tamten świat.

Żarty żartami, łatwo śmiać się z tych nartowskich snobizmów nam mieszczuchom, bo nigdy nie zaznaliśmy poniżeń jakie były udziałem mieszkańców wsi. Dlatego też nie rozumiemy, tego wielkiego głodu nobilitacji, tęsknot do godności własnej, pragnienia, aby wyrwać się z masy tych, do których przez długie lata nie zwracano się inaczej jak tylko per „ty chamie", a i teraz „tykanie" rolników uchodzi tu i ówdzie za rzecz naturalną. Faktem jest jednak, że prawdziwe czy urojone szlachectwo mieszkańców Nart nie chciało jakoś procentować, a przeciwnie wyrządziło im wiele szkód. Nie dyplom bowiem — nie przywileje nadane kaprysem jakiegoś tam hrabiczą nobilitują ludzi żyjących z gospodarki, ale ich praca i to czego dzięki niej potrafią dokonać. Takie w dzisiejszych czasach obowiązują kryteria i nie bez kozery właśnie Suchecki, a nie inny nazwiskiem na „ski" jest w Nartach od 12 lat sołtysem.

Wielu dziś mamy rolników, którzy zażywają szacunku sąsiadów, zasiadają we władzach od gromadzkich począwszy, a na fotelach sejmowych skończywszy właśnie dzięki swej pracy, swej wiedzy rolniczej.

I to jest prawdziwa nobilitacja dnia dzisiejszego.

A tej nobilitacji jaką jest dobra robota nie mają właśnie mieszkańcy Nart. Wprost przeciwnie. Jest to wioska znana w powiecie Rawa Maz., z tego, że najwięcej tu podupadłych gospodarstw. Zadłużenia sięgają setek tysięcy. Co najmniej osiem gospodarstw zgodnie z ustawą można by przejąć na skarb państwa. Bądźmy jednak sprawiedliwi. Nie zawsze upadek gospodarki wynika tu z przyczyn subiektywnych. Są też i przyczyny obiektywne. Narty się starzeją. Młodych ludzi można policzyć na palcach. Ot, na przykład, Wacława Wąsowicz.

Jedziemy do niej w asyście sołtysa.

Wokół starego domu znamiona postępującego upadku: zawalona do połowy stodoła, brak ogrodzenia, zapuszczony ogród, bujne chwasty pod oknami. Mijamy pierwszą izbę. Tu już nikt nie mieszka bo sufit grozi zawaleniem, dach dziurawy jak sito. W porze deszczowej woda leje się na podłogę cienkimi strużkami. W drugiej izbie żelazny piecyk, krzywy kredens. Nikłe ślady gospodarskiej schludności świadczą, że ktoś tu jeszcze podtrzymuje tlące się życie, ale jest to już trud syzyfowy. 24 morgi, drogą sukcesji, przeszły na własność gospodyni. Wątpliwe to dobrodziejstwo. Wacława Wąsowicz nie jest już młoda. Dzieci odeszły do miasta lub innych wiosek. Jest sama. Płonowe zmarszczki zbiegły się wokół ust, nadają twarzy wyraz determinacji. Jest to twarz kobiety zahartowanej w bojach życiowych, a w bojach tych, jak na kobietę przystało, bronią najsilniejszą i niestety jedyną jest... obrotny język. Sołtys przyprowadził mnie właśnie tu nie bez kozery. On też chce upiec własną pieczeń przy 'ym ogniu. A chodzi o to, że dwa lata temu były prezes Powiatowego Związku Kółek Rolniczych Tadeusz Kwiatek postanowił zająć się sprawą Nart, powstrzymać jakoś ten „paraliż postępowy" wioski w tym stadium, kiedy wiele spraw można by jeszcze naprawić. Jedyne wyjście dla Nart to kółko rolnicze. Wioska ma na swym koncie prawie milion złotych z Funduszu Rozwoju Rolnictwa. Pieniądze leżą zamrożone, a tu właśnie bardziej niż gdzie indziej potrzebny jest traktor. Bez mechanizacji Narty nigdy nie staną na nogi z tej prostej przyczyny, że brak tu rąk do pracy a gospodarki raczej duże od 7 do 20 hektarów.

Aby założyć kółko trzeba co najmniej 15 chętnych. W wyniku rozmów zgłosiło się 11, ale wkrótce dwóch odpadło, nie podając żadnych konkretnych przyczyn. Sołtys jednak zna te przyczyny. To właśnie ta zapleśniała szlachecka mentalność miesza mu szyki. Ta zapiekła duma strateńców, którzy wolą iść ku ruinie byle tylko nikt nie naruszał w najmniejszej choćby mierze ich prawa do decydowania o własnym losie.

Z tej to przyczyny sprawa kółka utknęła na martwym punkcie. Wacława Wąsowicz nie należała do tej 11, chociaż to jej właśnie, a nie sołtysowi zależy bardziej na traktorze.

Stoi teraz wsparta o żelazny piecyk w postawie obronnej jak jeż, który nastawia kolce nie wiedząc jeszcze jakie i z której strony grozi mu niebezpieczeństwo. Pytam jak sobi radzi, i jak wyobraża sobie dalsze swoje życie w tej sytuacji.

— Jakoś to będzie — liczy się dzień dzisiejszy. A jutro jak Bóg pozwoli...

Właśnie traktorzysta skończył orkę pod siewy jesienne na jej polu. Po ten traktor chodziła do Białej Rawskiej przez trzy tygodnie, aż w końcu wyprosiła. Trzy tygodnie to w rolnictwie pół wieku. Przegapi się termin siewu i urodzaj diabli wzięli.

— Nie lepiej więc mieć traktor pod ręką we własnej wsi? — Wąsowiczowa milczy. Nie mówi „tak", nie mówi „nie", po prostu to ją nie interesuje. Koniec dyskusji, kropka.

Wychodząc z izby rzucam mimo woli okiem na tabliczkę przybitą na ścianie domu. Data budowy 1914 rok. Deski ścian wykrzywiły się jakby dach był zbyt wielkim dla nich ciężarem. Jeszcze kilka lat i pewnego pięknego dnia ściany obsuną się cicho i dom umrze śmiercią naturalną, tak jak to się stało z chałupą Wincentego Gurbskiego. Dom się zawalił, a jego właściciel żyje jak ptaszek boży, sypiając zimą u sąsiadów, a latem w stertach słomy.

Taka jest cena szlacheckiej pychy mieszkańców Nart. Czy będą mieli dość zdrowego rozsądku, aby odnaleźć stracony czas póki jeszcze nie jest za późno? Tych ośmiu chętnych, którzy się nie wycofali i gotowi są przystąpić do kółka daje cień nadziei, że jednak i do Nart zaczyna docierać poczucie rzeczywistości...

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Powrót

Tydzień temu siedziałam na tym samym łóżku i czytałam książkę: właściwie to wcale nie czytałam, tylko siedziałam pochylona nad nią i czułam się bardzo chora, nie myślałam wcale o tobie, nie spodziewałam się, że wrócisz....

— Jak to wrócisz, dlaczego wrócisz, przecież wcale nie wróciłem.

— Wróciłeś kochanie. Wtedy myślałam o tym, że niedługo umrę, było mi...

— Co ty bredzisz o jakimś powrocie — poruszył się gniewnie, przecież ci mówię, że wcale nie wróciłem.

— Ależ wróciłeś. Pamiętasz, zaraz na drugi dzień, jak myślałam, że umrę — spotkaliśmy się. Jesteś taki, jaki byłeś zawsze, trochę mrukliwy, ciężki w chodzie, ale pewny, stąpający mocno. Masz takie same, jak zawsze — twarde dłonie i tyle siły, kiedy mnie do siebie tulisz...

— Nie pamiętam, nic nie pamiętam. Wiedz, że to, o tym powrocie — zaczyna mi się nie podobać.

— Ależ kochanie, przecież... Zaraz, zaraz — byliśmy wtedy nad morzem, pływaliśmy po zatoce i kiedy wychodziłam z wody, całowałeś mnie i mówiłeś mi, że mam takie gorzkie wargi, że słone i przyciskałeś mnie mocno do siebie, chociaż byłam w mokrym kostiumie. Pamiętasz — miałam wtedy ten biały kostium w niebieskie paski. Wtedy byłeś taki dobry. Pamiętasz, porwałeś mnie na ręce i zaniosłeś do łodzi. Nie wiem co to była za łódź, czy wypożyczona, czy po prostu wziąłeś pierwszą lepszą łódź rybacką i odbiłeś od brzegu. Byliśmy na morzu cały dzień i wróciliśmy już po zachodzie słońca. Zostawiłeś mnie na brzegu, bo musiałeś rozmawiać z jakimś rybakiem. Pamiętam, że byłeś zdenerwowany, a potem wróciłeś i powiedziałeś mi, że musiałeś się z nimi bić. Miałeś rozciętą skórę za uchem i z rany ciekła ci krew. Pamiętasz? Pokaż, masz jeszcze bliznę po tamtym? O masz, oczywiście.

Leżał odwrócony do niej bokiem i poruszył się niespokojnie dopiero wtedy, gdy dotknęła jego głowy za uchem. Przesunął dłonią po spoconym czole, szczelnie dopiął kurtkę od piżamy na piersiach i spojrzał gniewnym, a zarazem pytającym wzrokiem w jej stronę.

— Kochanie, nie gniewaj się, przecież tu, pamiętam tu — miałeś szramę, która tak mocno krwawiła i musiałam przykładać ci twój fiński nóż, bo miałeś silny o...

— Przestań bredzić do jasnej cholery, powiedziałem ci raz, że nie było żadnego powrotu, że poznałem cię tydzień temu, potem postanowiliśmy żyć razem i mieszkamy teraz z sobą. Zwariowałaś? Przecież poznała nas z sobą ta moja znajoma z instytutu etnograficznego — Ewa, twoja zdaje się — dobra koleżanka. I to wszystko.

— Kochanie, nie gniewaj się, ja naprawdę nie chciałam ci sprawić przykrości. Przecież przed chwilą powiedziałeś, że tak ci ze mną dobrze.

— Powiedziałem, ale nie bredź mi o żadnych powrotach — rozumiesz, bo to nieprawda, to mnie drażni, nie chcę tego słyszeć. Przecież jesteś chyba normalna?

— Objęła go ramionami i przylgnęła do niego całym ciałem. Powiedz mi — kochasz mnie jeszcze?

— Kocham — powiedział zapatrzony w punkt na suficie, ale nie mów mi już więcej o powrotach, o żadnych powrotach, nigdy do ciebie nie wracałem. Po prostu przyszedłem i jestem, to wszystko.

— Dobrze kochanie, jest tak, jak ty mówisz.

— Leżeli dobrą chwilę w milczeniu. Odwróciła głowę w drugą stronę i odchyliła całe ciało tak bardzo, że mógł z trudnością objąć ją dłońmi. Nagle zobaczył, że ma otwarte usta i z oczu wypływają jej ciurkiem prawie — łzy.

Irena, Irena — poruszył się niespokojnie i przyciągnął ją ku sobie. Nie poczuł żadnego oporu. Objął jej głowę. Mimo woli stwierdził, że jest prawie zupełnie zimna. Usiłował ją teraz pocałować, ale kiedy zbliżał twarz do jej twarzy, usłyszał niezrozumiały szept. Zatrzymał się i chciał pochwycić słowa.

— Wtedy śnieg był taki ogromny, a ja nie chciałam jechać na tę wycieczkę.

— Co takiego — zapytał, na jaką wycieczkę?

— Nie pamiętasz? Nauczyłeś mnie jeździć na nartach, a potem mi kazałeś jechać z sobą. Mówiłeś, że na tamtych terenach byłeś ranny i chciałeś odwiedzić tego górala, który cię ukrywał.

— Na jaką wycieczkę, jakiego górala, co za śnieg? Biłem się w górach, ale wtedy nie byłem ranny.

— Ale w ogóle byłeś ranny? — zapytała przytomnie.

— Tak, skaleczyłem się w palec, kiedy musiałem obierać na biwaku leśnym ziemniaki.

— A więc nie mylę się, byłeś ranny — zawołała z radością.

— Skończ te brednie, ja mam dość tego, co ci u diabła przychodzi do głowy?

— Pamiętasz, potem złamałam nartę i kiedy już napiłeś się z tym góralem wódki, prosiłeś żeby mnie odwiózł saniami, a sam miałeś pojechać zboczem na nartach. Całą noc czekałam, a ty wróciłeś rano bez nart, pijany. Ile się napłakałam, bo myślałam, że ci się coś stało na tych nartach, ale ty mi powiedziałeś, że je zastawiłeś w knajpie, za wódkę. Pamiętasz? Nie wiem nawet, czy nie czekałeś wtedy na tego górala, aż mnie odwiezie i czy nie piłeś z nim dalej?

— Być może, powiedział, ale nie bredź już więcej, błagam cię.

— A potem, kiedy ci powiedziałam, że martwiłam się o ciebie — wyszedłeś i znów piłeś trzy dni, później powiedziałeś, że masz już tego wszystkiego dość i wyjechałeś na to swoje Mazowsze — na wieś. Ale ja wiedziałam, że ty wrócisz, chociaż wtedy mi powiedziałeś, że już nigdy się nie zobaczymy — wiedziałam, że to nieprawda.

— Jeżeli jeszcze raz powiesz mi coś o jakimś powrocie — będzie awantura. Ja naprawdę nigdy nie odchodziłem od ciebie i nie wracałem — rozumiesz?

— Posłuchaj, siadł na łóżku, przecież to wszystko co mi mówisz nie ma żadnego sensu. Nie byłem nigdy z tobą nad morzem, ani w górach. Znam cię tydzień czasu i mieszkamy z sobą od wczoraj. Czy ty to rozumiesz?

— Oczywiście miły, nie gniewaj się, leż spokojnie, proszę cię bardzo, ja ci niczego nie mówię, jestem szczęśliwa, dotykam twego ciała, czuję twoje ciepło, jest mi tak dobrze z tobą, kocham cię. A powiedz, czy ty mnie też kochasz?

— Kocham cię, uspokój się trochę, poleż bez ruchu teraz, chcę abyś odpoczęła. Pogładził jej rude, w świetle nocnej lampki prawie bordo — włosy i znów zapatrzył się w punkt na suficie.

— Opowiedz mi jeszcze coś o sobie, poprosiła cichym, ledwie słyszalnym głosem.

— Poczekaj trochę, chciałem spokojnie poleżeć, może sobie przypomnę coś ciekawego, to ci opowiem.

— Może powiesz mi o tamtej wsi na Mazowszu, o tej, w której odpoczywałeś na melinie w 44 roku, albo o tej, w której mieszkałeś w dzieciństwie. Ty tak ładnie umiesz opowiadać, tak ładnie mówisz o lesie.

— O jakiej wsi, jakim lesie?

— No o tym, w którym byłeś w czasie wojny, pamiętasz?

— O partyzantce?

— No właśnie, o partyzantce.

— Nic ciekawego. Te kilka akcji, trochę trupów, które do dziś śnią mi się po nocach, kiedy jestem bardzo zmęczony, albo ta wóda, której do diabła i trochę chlaliśmy, naprawdę nic ciekawego. Zresztą straciłem wtedy najlepszych przyjaciół, o których mogę najwyżej milczeć.

— Kochany...

— Może kiedy indziej?

— A to, jak byłeś ranny?

— Mówiłem ci, że zraniłem się sam, w palec, przy obieraniu ziemniaków. W ogóle muszę ci powiedzieć, że byłem wtedy duży cwaniak, a takich kule się nie imały. Dziś może bym tego nie potrafił, ale wtedy inni ginęli, a mnie nigdy nic specjalnego się nie przytrafiło.

— Jakże to, przecież tyle razy mi o tym opowiadałeś, powtarzałeś to wszystko, a teraz nie chcesz o tym mówić więcej?

— Nie, ani słowa — ryknął. Mam dość tego, nigdy ci niczego o tamtym nie opowiadałem, tyle tylko, że byłem w czasie wojny w lesie, rozu...

Leżeli chwilę zupełnie spokojnie i wydawało się, że już zasypiała, kiedy usłyszał coś, jakby szept. W pierwszej chwili zbagatelizował to, ale potem uniósł lekko głowę i przesunął niestyszalnie bliżej jej ust.

Albrecht Dürer: STUDIUM PROPORCJI

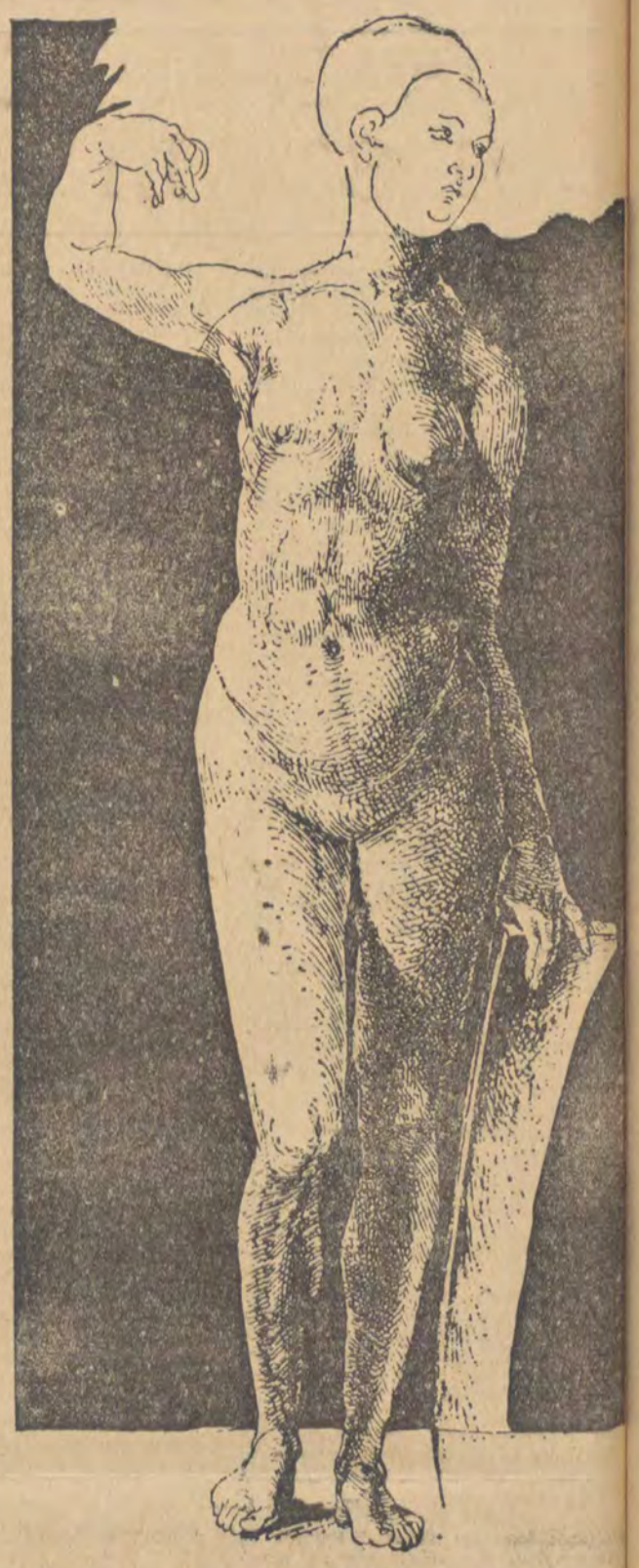

— Pamiętasz, byliśmy w tamtym lesie. Nie przypominam sobie już, jesienią, czy wczesną wiosną. Pamiętam tylko, że od południa wiał ciepły wiatr który mi potargał włosy i na dębach szeleściły złotawe liście. W rowach leżały jeszcze resztki pordzewiałych drutów, wśród gnijących liści, wtedy mi powiedziałeś o tej wysokiej mogile żołnierskiej z pierwszej wojny, o grobach powstańców, o tych starych drzewach a potem niespodziewanie pocałowałeś mnie tak mocno, że byłam prawie nieprzytomna. Boże...

— Poczekaj, już wstaję.

— Ależ kochanie, po co wstajesz, przecież wiesz, że mieszkamy z sobą od wczoraj, a znamy się od tygodnia, ja wcale nie chciałam ci...

— Dobrze — powiedział, ja już nie mogę tego słuchać.

— Co ty robisz, gdzie chcesz teraz iść, Boże, dlaczego ty się teraz ubierasz, Antoni, kochany mój, gdzie chcesz teraz pójść?

— Daj mi spokój.

— Antoni, kochany mój — mówiła szeptem tłumiąc łzy, przecież...

— Dość.

Stała bezradna w długiej nocnej koszuli, pośrodku pokoju i patrzyła niemo, jak zbierał drobiazgi do walizki. Potem mocował się jeszcze chwilę z zamkiem. Wreszcie sięgnął po szmatkę i wyglansował dokładnie buty. Popatrzył bezmyślnie w lusterko, potem u... słyszała już tylko zgrzyt zamka Yale suchy trzask drzwi. Po schodach posy... pały się jego szybkie kroki. Stała b... ruchu tak długo, póki nie otworzył brz... my wyjściowej. Wtedy dobiegła do ok... na i szybkim ruchem otworzyła je sz... roko.

— Antoni, kochanie, nie odchodź... wróć, błagam cię — wrócisz?

— Żegnaj.

— Antoni, powiedz mi koniecznie... powiedz.

— Co mam ci powiedzieć?

— Powiedz tylko — tak, będę czekała...

— Na co będziesz czekała — zapyta... zadzierając wysoko głowę, jakby troch... zdziwiony.

— Na twój powrót.

— Zawrócił szybko, ruszył w dół ul... cy długim krokiem, jakby spieszył się bardzo. Potem zwolnił nieco i wypluł p... siebie garść obelżywych słów.

— Ja wiem, że ty wrócisz, ty musisz wrócić. Wracałeś tyle razy, będę na cie... bie czekała. Odwróciła głowę od okna i ruszyła wolnym krokiem w stron... łóżka tuląc do piersi bezwiednie jaki... kawałek tkaniny, jakby trzymała co... żywego.

— Ja wiem, że ty wrócisz, jak zwy... kle wrócisz, będę cię zawsze jednako... wo kochała. Przecież ty wiesz najle... piej, że nie kłamię. Więc wrócisz — prawda?

WOJCIECH KAWIŃSKI

Odległość nas przerasta

Odległość nas przerasta gubi w sobie
Krzyżuje się niebo z ziemią
Woda z ogniem
Strach z czułością

Gołębie skaczą w dym ze złożonymi skrzydłami
Nadmorskie piaski kołyszą się jak statki
Gubią swoje wymiary lotne

W gorących źródłach pasą się bezpiecznie śniegi
A czas zawęził się do nitki w oku słońca
pociemniałym

Pożegnanie

za mało słów do zrozumienia całości
za mało wiatru do przewiania kości

brzegiem strumienia idzie struna deszczu
i zszywa drzewo
ogień
w wyziębłym powietrzu

za mało mnie ażeby wzrokiem przebić się przez
kamień
lasu i gęstość drogi
co jest ukazane
w ścisłych wymiarach sekund wędrujących
rozpocznie się końcem
zakończy początkiem
i na brzegu wyschłego nilu pozostanie
po kropli rdza
po niebie jasne pożegnanie

W pięknym mieście Krakowie

Mieliśmy mało czasu, aby zwiedzać Kraków. Zjazd literacki był wyjątkowo pracochłonny, a dyskusje takie, że nie chciało się nic z nich uronić. A przecież w przerwach obiadowych i wieczorem, po zakończeniu obrad, szliśmy na miasto i poddawaliśmy się urokowi jego ulic, placów i budowli. Pewien Amerykanin, który znalazł się po raz pierwszy w Krakowie, powiedział: „To nie miasto. To muzeum pod gołym niebem". Święta prawda. Tyle tu pamiątek historycznych, że można by nimi obdzielić wiele innych grodów w Polsce. Zainstalowano nas w hotelu „Cracowia". Nowoczesny, oddany do użytku w roku ubiegłym, jest prawdziwą chlubą miasta. Kraków jest mniejszym miastem niż Łódź, ale ma więcej hoteli. I jeszcze mu przybywają nowe. Przypomina się słowa z Biblii: „Kto ma, będzie mu dodane, kto nie ma, będzie mu odjęte". Nie mówię już o tym, ile w tym Krakowie kawiarni, restauracji. A jakim powodzeniem cieszyły się, odbywane w czasie zjazdu pisarzy, spotkania z autorami. Walono na te spotkania drzwiami i oknami. Ludzie nie mogli pomieścić się w żadnej z sal. Brałem udział w jednym z takich spotkań w sali „Pod Baranami". I tu porównanie z Łodzią nie wypadnie na korzyść tej ostatniej. Ktoś kiedyś powiedział: „Gdyby zmartwychwstał sam Bernard Shaw i przyjechał na spotkanie literackie do Łodzi, sala świeciłaby pustkami". Kiedy tak chodziłem po tym pięknym mieście Krakowie, myślałem sobie: „Jest to zbyt urodziwe miasto, aby móc w nim mieszkać na stałe. Trzeba mieszkać gdzie indziej, a do Krakowa przyjeżdżać od czasu do czasu dla pokrzepienia serca i podniesienia na duchu". Zygmunt Nowakowski, sam przecież zabity Krakus, mawiał jednak, że Kraków byłby o wiele piękniejszy, gdyby mniej było w nim Krakowiaków. Ale my przebywaliśmy tam zbyt krótko, by stwierdzić, ile w tym prawdy. (My, to znaczy delegaci łódzcy na zjazd: Tadeusz Gicgier, Wiesław Jażdżyński, Tadeusz Papier, Marian Piechal i niżej podpisany). Widzieliśmy jedynie tych Krakowiaków, o których sądzimy raczej dobrze, a więc najoryginalniejszego człowieka czyli Andrzeja Stopkę, najelegantszego czyli Stefana Otwinowskiego, najodważniejszego czyli partyzanta Władysława Machejka. W kuluarach zjazdu słyszeliśmy piękną anegdotę o jednym z młodych, ale już posiadającym własne auto, pisarzy krakowskich. Oto pewnego razu wszedł on do księgarni i między nim a sprzedawcą wywiązał się następujący dialog.

Młody pisarz: — Chciałbym kupić jakąś książkę.

Sprzedawca: — Czy to ma być coś lekkiego?

Młody pisarz: — Niekoniecznie. Na ulicy stoi mój wóz.

Z Krakowa pojechaliśmy do Nowej Huty. Dla wielu delegatów był to w ogóle pierwszy pobyt w tym mieście a już z pewnością dla wszystkich — pierwsze spotkanie z ogromnym kombinatem, który zwiedzili. Po obejrzeniu wielkich pieców, gdzie wytapia się żelazo i długich hal, gdzie walcuje blachy, nastąpiło spotkanie z dyrekcją zakładu przy lampce wina i rozmowie. Ucieszyłem się ogromnie, zobaczywszy naczelnego dyrektora huty Bohdana Kołomyjskiego. Jest to jeden z najlepszych i długotrwałych dyrektorów w Polsce. Kieruje kombinatem Nowej Huty od początku jego istnienia, co przecież nie jest u nas zjawiskiem nazbyt częstym. Jest to poza tym człowiek, którego znam jeszcze sprzed wojny i było mi ogromnie miło przypomnieć naszą znajomość. Bohdan Kołomyjski pracował przed r. 1939 w Starachowicach jako naczelny inżynier w tamtejszej hucie. Był kierownikiem lubianym, a ojciec mój, który w tychże zakładach był giserem, twierdził, że robotnicy po prostu za nim przepadali. Może tu właśnie kryje się tajemnica jego długotrwałego dyrektorstwa: jest znakomitym fachowcem i dobrym człowiekiem. O takim człowieku powinno się napisać powieść. Może to ja właśnie powinienem ją napisać. Ale czy dam radę?

Skoro jestem przy sprawach literatury, czas byłoby powiedzieć parę słów o samym zjeździe krakowskim. Co prawda o programie zjazdu, dyskusji i jej wynikach wypowie się w następnym numerze „Odgłosów" kto inny, mimo to chciałbym i ja dołożyć swoje trzy grosze. Sądzę (i nie jestem w swej opinii odosobniony), że był to zjazd bardzo dojrzały, kto wie, czy nie najlepszy ze zjazdów w ostatnich latach, a sprawy i problemy w czasie jego trwania poruszone, objęły duży obszar problematyki literackiej w Polsce. Nie zabrakło oczywiście stanowisk kontrowersyjnych, ale to właśnie należy uznać za cenne. Tylko ze starcia się stanowisk odmiennych tworzy się postęp myśli. Najogólniej jednak rzecz ujmując, wszyscy pisarze zademonstrowali przywiązanie do dziedzictwa literatury polskiej, do jej trwałych tendencji postępowych, której tyle pięknych dowodów odnajdujemy na kartach wielu dawnych i nowych dzieł pisarskich.

Po raz pierwszy również ujawniła się wzrastająca i przybierająca na sile dynamika pozawarszawskich skupisk literackich. Nie tylko w tym, że zabierali oni głos w dyskusji i mówili rzeczy słuszne i ciekawe, ale także i może przede wszystkim w tym, że mogli legitymować się dużą ilością wartościowych książek, które powstały i powstają w Krakowie i Łodzi, Wrocławiu i Katowicach, Opolu i Lublinie, Bydgoszczy i Zielonej Górze, Gdańsku i Olsztynie, Szczecinie i Poznaniu, a także w najmłodszym ośrodku literackim — Koszalinie. Bo w końcu najważniejsza jest książka. Pisarz może być złym lub dobrym mówcą, może być złym lub dobrym dyskutantem, nade wszystko chodzi o to, by pisał wartościowe powieści i opowiadania, wiersze i dramaty. One tworzą dorobek kulturalny społeczeństwa i one się w ostatecznym rachunku liczą.

Zjazd krakowski był przeglądem i mobilizacją sił twórczych w Polsce. Wydaje się bezsporne, że mamy wielu dobrych pisarzy we wszystkich pokoleniach i wiele dobrych książek, które spotyka uznanie nie tylko w kraju, ale także za granicą, co należy przyjąć z zadowoleniem. A że rok 1965 ma się ku końcowi, był to jak gdyby bilans osiągnięć polskiej literatury współczesnej. Możemy, oczywiście, podgrymaszać, czemu nie. Byle tylko nie zaciemnić obrazu i nie zaciemnić prawdy.

Jan Koprowski

STANISŁAW KASZYŃSKI

Rozmowa ze Szwedem o materiach operowych

Dyr. Władysław Lipiński z Zarządu Inwestycji Teatru Narodowego był tak uprzejmy, że zaprosił mnie na tę rozmowę. Jej głównym bohaterem był gość naszej opery, przybyły ze Szwecji, p. Björn G. Bexelius, dyr. Królewskiej Opery z Drottningholm (pod Sztokholmem), miejscem akcji — gabinet w naszej „operalni", z akcesoriów godnych wymienienia — niezła kawa.

Nie będę zdawał sprawy z interesujących wywodów sąsiada spoza Bałtyku na temat jego teatru, jak można było zorientować się z pokazywanych zdjęć, uroczego cacka, zachowanego w stanie nie naruszonym sprzed 200 lat z okładem. Powstał akurat wówczas, kiedy panował nam miłościwie król Staś, a z rzeczy szokujących nasz pomyślunek historyczny, wybiorę taki drobiazg, iż korzystają jeszcze z urządzeń technicznych onego czasu... Warto jeszcze i to wtrącić, że 900 tys. stolica posiada 23 (!) teatry, cieszące się nie słabnącym powodzeniem. Operę się również nie hołubi, jakkolwiek jeszcze nie doszło do tego, o czym marzą tamże, aby bilety na te spektakle sprzedawano na „czarnym rynku". Proszę się zadumać: 23 czynne sceny, a my markotniejemy na myśl o uruchomieniu siódmej sali...

Co nas szczególnie pasjonowało, to obserwacje p. Bexeliusa, wyzbierane skrzętnie w ciągu dwóch pobytów w Polsce — po raz pierwszy spędził u nas dwa miesiące, bodaj tyleż zabawi i tym razem. Przyznam się, że byłem nieomal „zaszpuntowany" pedantyczną wiedzą o naszym życiu muzycznym. Orientacja zaiste znakomita, sądząc po ilości faktów, sądząc i po tym, z jaką swadą sypał nazwiskami, wymawiając je bezbłędnie, tudzież nazwy „świszczące" niektórych miast, choćby tak piekielnie trudne dla obcych instrumentów głosowych jak „Bydgoszcz". Jak wiadomo, takie wojaże kosztują i można spłacić pobrane tantiemy jedynie rzetelnym sprawozdaniem po powrocie do domu. Jestem pewien, że p. Bexelius uiści zaciągnięty dług z naddatkiem; mówił, że spisze te swoje wrażenia i podzieli się nimi ze słuchaczami radia.

Jego spostrzeżenia, wypowiadane swobodnie, bez nonszalancji, a zarazem bez etykietalnych piruetów słownych i emoków pod adresem gospodarzy. (Nawet gdybym p. B. nie prosił o szczerość, relacjonowałby w tej samej tonacji, rzeczowo, wspierając się bardziej na argumentach człowieka, odczuwającego wnikliwie sztukę, ale i wiążącego swoje poglądy na te kwestie z perspektywą powodzenia finansowego).

Uwaga generalna: istnieją daleko większe różnice w dziedzinie sztuki i jej odbioru między Europą a Stanami Zjednoczonymi, niż między Europą wschodnią i zachodnią. W tej ostatniej części świata Polska ma wiele do powiedzenia i wypowiada się niezmiernie bogato, fascynuje. No tak, ale jak to się dzieje, że piszecie znakomitą muzykę o sławie światowej, rozporządzacie szeregiem doskonałych śpiewaków, macie wybitnych dyrygentów (takich jest przeraźliwie mało w Szwecji), możecie się pochwalić pierwszorzędnym teatrem awangardowym i równie solidnym — tradycyjnym, a nie ma tej samej rangi teatru operowego. Nie istnieje w Polsce określony kierunek sztuki operowej, są rozmaite tendencje, pojedyncze koncepcje, nie najświeższej daty zresztą, brak propozycji trwalszej, konsekwentnie wyprowadzanej i rozwijanej z precyzyjnie wyważonych założeń. To, co jest, nie wystarcza, aby ukształtować zjawisko artystyczne, dające się podprowadzić pod szyld konkretnej szkoły, jednorodnej tradycji, odrębnego stylu. Ten brak wynika z niedostatku fachowców. Kadra reżyserska rekrutuje się głównie z dawnych śpiewaków bez odpowiedniego przygotowania. Nic dziwnego, że powielają oni przestarzałe konwencje, będące co najwyżej krzykiem mody ich młodości. Na dobitek, za mało ci panowie podróżują, oglądają, granice ich poznania mieszczą się w zasadzie w granicach państwa. To stanowczo za mało, by złapać dłuższy oddech. Rozumiem, że trudności dewizowe uniemożliwiają angażowanie obcych reżyserów europejskiej klasy; jeśli zjeżdżają, to otrzymują honoraria wyłącznie w złotówkach, na co niewielu chce przystać — p. Nedomansky, który współpracuje i z naszym teatrem, jest wyjątkowym... idealistą, przystając na te warunki.

Płaszczyzna owych słabości jest znacznie szersza, na niej umieściłbym i sprawę wykształcenia zawodowego śpiewaków. Odniosłem wrażenie, powiedział p. Bexelius, że ogólnie biorąc polski śpiewak, przekraczający 30 lat, poprzestaje na tym, co zdobył, wierząc w swe doświadczenia i przede wszystkim w swój talent. Dlaczego nie ma zwyczaju, czy obowiązku brania lekcji u renomowanych nauczycieli, pilnego szlifowania formy (tu padły wielkie nazwiska śpiewaków zachodnich, postępujących wręcz odwrotnie). Polska jest krajem ogromnego rezerwuaru materiałowego, jest surowiec, nie dostaje chęci czy świadomości jego nieustannej obróbki, brakuje także częstszych występów na scenach europejskich. P. Bexelius wszedł tu na ścieżkę wojenną pp. Waldorffa i Kisielewskiego, z pewnością mimowolnie: miał odwagę, co należy docenić, wyciąć kilka cierpkich komentarzy na konto PAGART-u, który nie zdaje egzaminu w kontaktach międzynarodowych, w zakresie „sprzedaży" sił wokalnych. Np. p. Bexelius miał wielką ochotę zaangażować na kilka wieczorów do „Cosi fan tutte" doskonałego tenora Opery Gliwickiej. Był mu potrzebny za dwa dni. Nie przesłał jednak telegraficznego zaproszenia, wiedząc, że proces to zawiły a przewlekły. Straty wynikające z tego tytułu wpisują się natrętnie nie tylko na papier.

Z uwag szczegółowych, odnotuję zdziwienie p. Bexeliusa z powodu „Strasznego dworu", którym, jak wiadomo, rozpocznie swój nowy żywot nasza opera. Dlaczego tak samo jak w Warszawie? Broniliśmy Moniuszki, ja — ze względów emocjonalno-narodowych. Z zachwytem opowiadał nasz gość natomiast o przedstawieniu „Fra diavolo". Zaskoczyło mnie, że zachęcał nas, krytyków i recenzentów, do pisania częstego o operze.

Skąd on wie, że przychodzi to nam z pewnymi oporami? Skoro jesteśmy przy tym, mam propozycję: gdyby redakcja „Odgłosów" zdecydowała się uprzystępnić łamy innym partnerom tego spotkania, wszczęłaby się może wymiana zdań co do koncepcji Łódzkiej Opery, czy jej dalszych losów z tej i z tamtej strony budki suflera. Czas zacząć tego..., no... twista, korzystając z tego pretekstu przynajmniej.

Od początku naszej rozmowy z p. Bexeliusem, bodaj wszyscy czailiśmy się z pytaniem trochę obcesowym, może nie kurtuazyjnym: wreszcie padło: drogi miły panie, a ileż to pan ma lat? Usłyszeliśmy, że dopiero 25. Pomyślałem sobie: kogoś mi ten młody, dynamiczny młodzian przypomina. Tak. Oczywiście, Kazimierza Dejmka!!!

Półka z książkami

KSIĄŻKA DLA NAS ODNALEZIONA

Kiedy wchodziło na półki księgarskie pierwsze po wojnie wydanie „Rękopisu znalezionego w Saragossie", Jan Potocki był autorem znanym niemal wyłącznie smakoszom, koneserom i badaczom naszej literatury. Dziś pisarz ten jest wręcz popularny: przemówił do polskiego czytelnika swą już po raz trzeci w ostatnich latach wznawianą książką, zaimponował finezją swego wykwintnego teatru, „awansował" wreszcie w pewnym sensie — i na scenarzystę filmowego, co trafia się czasem również naszym pisarzom współczesnym, ale uczynił to z pełnym sukcesem. I wszystko w 150 lat po śmierci. A więc, co już jest w tej dziedzinie wydarzeniem wyjątkowym, jeszcze jeden fenomen literatury.

Chociaż nie reklamujemy zazwyczaj wznowień, tym razem odejdziemy jednak od tego obyczaju. Książka bowiem, już znana, a jeszcze i spopularyzowana przez błyskotliwy obraz Wojciecha Hasa, i tak trafi do czytelnika. Zwróćmy więc tylko uwagę na jej świetną szatę graficzną: to istne cacko. Bibliofil, który coraz częściej doznaje dzięki naszym wydawnictwom radosnych emocji, tym razem aż zachłyśnie się z zachwytu. Zaczynając od pomysłowej obwoluty przez cały układ graficzny Jerzego Jaworskiego, pełen smaków i smaczków, z mnóstwem dowcipnych przerywników, „Rękopis" ma zapewnione miejsce wśród kandydatów do tytułu najpiękniej wydanej książki roku 1965.

Za przypisami, na samym końcu tomu ukryło się skromnie posłowie pióra Leszka Kukulskiego. Zwracamy na ten ciekawy esej uwagę czytelnika. Warto poznać i losy i filozofię pisarza, który odżył w półtora wieku od tragicznej chwili targnięcia się na swe życie. Warto je poznać bo zmartwychwstania literackie nie bywają dziełem przypadków, natomiast zawsze dowodzą dalekowzrocznej, wybiegającej poza własną epokę, myśli, i odkrywczej sztuki pisarza.

S. M.

„KSIĘGI HUMORU POLSKIEGO"

Wydawnictwo Łódzkie podjęło nie lada trud — wydanie antologii humoru polskiego od imć pana Mikołaja Reya rozpoczynając, a na facecjach Juliana Tuwima kończąc. Jest to, należy przyznać, praca pochłaniająca wiele czasu i nakładająca na wydawcę dużą odpowiedzialność, zważywszy na fakt, że jest to dzieło niemalże pionierskie (nie można brać pod uwagę antologii Kazimierza Bartoszewicza, dziś mocno przestarzałej).

Obecny tom jest trzecim z kolei, zawierającym co celniejsze utwory pisarzy z okresu pozytywizmu. Zresztą podtytuł tomu wyraźnie zakreśla granice zasięgu tej części antologii. Brzmi on: „Od Asnyka do Zapolskiej".

Pozytywizm szczególnie lubował się w utworach typu satyr, fraszek, gawęd, anegdot i nowel. Zdarzały się nawet całe powieści, z których fragmenty znajdujemy wśród krótkich form satyrycznych wydanego zbioru.

Przeglądając „Księgi humoru polskiego" spotykamy nazwiska czołowych naszych pisarzy pozytywistycznych (Prus, Sienkiewicz), jak i tych mniej znanych, dziś prawie zupełnie zapomnianych. Dużo miejsca poświęcono także utworom autorów anonimowych, których wiersze odznaczają się większą swobodą, a czasem swawolnością.

Wyboru tekstów dokonał Tadeusz Chróścielewski, on też jest redaktorem obecnego tomu. Niemalże bibliofilskie wydanie podnosi wartość tej ciekawej książki.

E. I.

Księgi humoru polskiego. Wydaw. Łódzkie. 1965 r. Stron 474. Cena 70 zł.

„JAŁOWIEC"

W czasie lektury nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że trzymam oto w ręku stary drzeworyt, którego gruba, wyraźna kreska rysuje szlachetny w swej prostocie kontur zdarzeń opartych na kanwie starej ludowej opowieści.

„Jałowiec" Ernesta Brylla, to jeszcze jedna w naszej literaturze żołnierska epopeja. Długi to był szlak. Wiódł hen, znad rzeki Turiji, po Kołobrzeg, nad morze. Czarny, choć porzucił rodzinne strony, by osiedlić się na kresach, zawsze jednak pozostał Kurpiem. Dzieckiem piasków, które czynią ludzi tak twardymi jak rosnące na nich jałowce. Dzięki tej swojej twardości właśnie, zdołał przetrzymać to, co niejednego załamałoby od razu. Utratę rodziny i — własną śmierć! W rodzinnej kronice ciotki Rozalii przy jego imieniu figurują aż trzy krzyżyki, trzy przekreślone daty. Trzy razy umierał za swoją Turiję, a potem sam już nie wiedział za co. Pewnie za tę Polskę, którą nosił w plecaku, zawiniętą w kawałek przetłuszczonej szmaty.

„Charakterny" człowiek! Mówiono o nim, że szukał swej śmierci. Prorokowano to i owo, a przecież kurpiowska krzepa i twardy jałowcowy charakter wygrały. Mówi się powszechnie, że życie tworzy charaktery. Słusznie. Ale prawdą też jest, że twarde charaktery nadają bieg zdarzeniom. Niewielu jest ludzi, którzy potrafią wyjść naprzeciw własnej śmierci, zmierzyć się z nią i zwyciężyć. Czarny był jednym z nich, choć przede wszystkim był sobą — kurpiowskim chłopem znad Turiji.

Książka Brylla jest nie tylko opowieścią o losach Czarnego. To prosta i szczera powieść o ludzkim charakterze. O jego tężyźnie i możliwościach. Kurpiowska opowieść o człowieku twardym jak jałowiec.

L. R.

Ernest Bryll — „Jałowiec" — LSW Warszawa 1965, str. 202, cena zł 10.

Książki nadesłane

Arkady Fiedler — DYWIZJON 303 — Wydawnictwo Poznańskie, cena zł 20.

Juliusz Znamierowski — JUTRO BĘDĘ MŁODSZY — Wydawnictwo Poznańskie, cena zł 10.

SZCZECIŃSKIE ARKUSZE POETYCKIE — Wydawnictwo Poznańskie, cena zł 10.

Jan Wieremiejuk — NA FRONCIE NIE BYŁEM, MON, cena zł 12.

Stefan Lichański — KUSZENIE HAMLETA, LSW, cena zł 10.

Jerzy Pański — WACHTA LEWEJ BURTY, W. Morskie, cena zł 15.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Pomiędzy plebanią a szkołą

Dziwną Polskę przedstawia nam w swoich szkicach i reportażach Waldemar Babinicz*). Dla człowieka z miasta obraz wsi współczesnej przedstawiony przez Babinicza wydaje się wręcz niepraw dopodobny. Czasami gotowi jesteśmy posądzać autora o zbytnią skłonność w kierunku groteski, jednak po uważniejszym odczytaniu książki uderza nas autentyzm opisywanych faktów. Babinicz ogranicza się jedynie do podania faktów, a to, że fakty te w odczuciu czytelnika są groteskowe, nie jest przecież winą autora. Tak samo, jak nie jest winą autora, kiedy podczas kwerendy po kancelariach parafialnych, znalazł on w dzienniku księdza proboszcza obok przepisów na nugaty i mazurki wielkanocne, listę osób, które w najbliższą niedzielę powinny być wyklę te z ambony lub skazane na wypędzenie z parafii.

Polska przedstawiona przez Babinicza, to kraj podzielony nie na powiaty czy gromady, ale na parafie. A wobec takiego podziału administracyjnego, jest rzeczą oczywistą, że powiatem i gromadą rządzi nie rada powiatowa lub gromadzka, ale — rada parafialna, którą kieruje w sposób sobie właściwy ksiądz proboszcz i ksiądz wikary. Jest to rzecz równie oczywista, jak i śmieszna, bo przecież chodzi tutaj o współczesną wieś polską. I właśnie ten fakt jest niezamierzonym powodem groteskowości opowiadań Babinicza.

Na dnie „reportaży parafialnych" Babinicza ukrywa się gorycz. Gorycz ta nie jest jednak spowodowana tym, że na prowincji polskiej rządzi dzisiaj — jak przed pięćdziesięciu czy stu laty — ciemnota i obskurantyzm religijny. Autor wyraźnie dostrzega, jak na prowincję docierają coraz częściej i szerzej elementy współczesnego życia kulturalnego, oświatowego czy technicznego. Troska autora wynika z tego, że aktywności propagandy kościelnej nie zawsze umie we właściwy sposób przeciwstawić się propaganda oficjalna. A oto fakt znamienny i bolesny. W pewnym miasteczku istnieje zespół amatorski. Zespół ten poza tym, że istnieje, nie przejawia żadnej działalności. Powód — brak fachowej ręki kierownika artystycznego, który by mógł zorganizować i poprowadzić taką działalność. „Powiatowy Dom Kultury ma wprawdzie etat instruktora artystycznego, ale etat od roku nie jest obsadzony. Napisano pono aż do Wojewódzkiego Domu Kultury, ale niewiele zyskano: powiatowy aktyw kulturalny dopatrzył się w tym kroku zniewagi i

Rys. Jan Bernat

próby lekceważenia bezpośredniego nadzoru, a czynniki wojewódzkie poleciły czekać na powrót instruktora z kursu, który właśnie odbywa się w stolicy". Tymczasem w miasteczku sąsiednim istnieje rozwijający żywą działalność inny zespół amatorski. Ale „instruktorem artystycznym" jest tutaj ksiądz wikary. Nic więc dziwnego, że członkowie osamotnionego zespołu „w niedziele i święta ciągną do księdza wikarego po wskazówki, po informacje, jak ustawić taniec, rozpisać nuty, wykonać dekoracje". Z gorzką ironią sugeruje Babinicz powstanie w miasteczku „Katolickiej Poradni Ruchu Amatorskiego". Konkluzja jest nie mniej zaprawiona sarkazmem: „Ostatecznie wszystko w naszych parafiach jest katolickie".

Przykład powyższy jest reprezentatywny dla sposobu argumentacji Babinicza. Nie zajmuje on postawy wrogiej wobec działalności kościoła na prowincji, nie rzuca ostro brzmiących oskarżeń pod adresem kleru. Autor stara się jedynie zestawić — jak sam mówi — „naszą bierną, nieruchawą politykę kulturalną z ofensywną, bystrą, elastyczną i pełną inicjatywy postawą poważnej większości kleru katolickiego". Wnioski z tej konfrontacji pozwala wyciągnąć — ba! nakazuje wyciągnąć — czynnikom najbardziej do tego kompetentnym.

Waldemar Babinicz ma do tego pełne prawo. Niewielu jest ludzi, którzy tak jak on, poświęcili całe swoje życie działalności kulturalno-oświatowej na prowincji. Nauczyciel, kierownik Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy, opiekun prowincjonalnej grupy literackiej „Ponidzie" — nie tylko swoim pisarstwem, ale przede wszystkim swoją codzienną, bezpośrednią działalnością walczy o laicyzację i rozpowszechnienie kultury i oświaty na wsi.

Wiele szkiców w swojej książce poświęca Babinicz ludziom podobnym sobie: działaczom kulturalno - oświatowym, nauczycielom, wychowawcom. Nie są to dzisiaj samotni społecznicy w typie bohaterów Żeromskiego; przeciwnie — są to ludzie świadomi tego, że mają za sobą poparcie państwa i społeczeństwa, a jeśli działalność ich nie zawsze osiąga spodziewane rezultaty, to jest to wynikiem umiejętnie prowadzonej na prowincji propagandy kościelnej, której nie zawsze mają możliwość skutecznie się przeciwstawić. Konflikt szkoła — plebania uważa Babinicz za reprezentatywny na współczesnej wsi polskiej, gdzie w dalszym ciągu toczy się walka między laicyzmem i skostniałym, lecz silnie zakorzenionym fideizmem. Walkę tę prowadzi Babinicz nie przeciwko wierze jako takiej, ani nie przeciwko Kościołowi jako instytucji, ale w imię upowszechnienia kultury i oświaty laickiej na wsiach i w miasteczkach prowincjonalnych.

Ciekawa jest forma gatunkowa, jaką uprawia Babinicz w omawianej książce. Złożyły się na nią utwory z trzech innych pozycji wydanych przez Wydawnictwo Łódzkie w latach 1960—1963: „Listy z parafii", „Apostołowie" i „Za ścianą". Drobiazgi literackie tutaj zawarte stanowią coś pośredniego między reportażem, gawędą, opowiadaniem i nowelą. Autentyzm opisywanych wydarzeń świadczy o reportażowych skłonnościach autora, a świadomy zamysł i konstrukcja tych utworów zbliża je do opowiadania (często satyrycznego) lub do noweli.

Wymowność ukazanych faktów z życia wsi i miasteczka, bogactwo typów ludzi z prowincji — świadczą o autorze jako o znawcy osobowości i psychiki szarych i prostych „ludzi z parafii".

„Wszystko to starannie wyszperałem, sprawdziłem — pisze o sobie Babinicz — i postanowiłem przy jakiejś okazji opisać. Kto wie? Może pan Narcyz ze swoim psem posłużą komuś jako trzeciorzędni bohaterowie do powieści, dramatu, filmu?".

*) Waldemar Babinicz: O babkach, nugatach i dziwnej antyfonie, Wydawnictwo Łódzkie 1965, cena zł 17.

KRONIKA

Antytelewizyjna

RZECZY PRZYJEMNE I POŻYTECZNE

Jako telewidza z równowagi w ub. tygodniu wytrąciła mnie tylko pewna piosenka „Wielokropka": znowu o sprzątaniu śniegu, o ślizgawicy i dozorcach. Nie pisać i nie śpiewać o tym? Skoro ludzie u nas każdej zimy łamią setki kończyn górnych i dolnych? Milczeć? Wścieka bezskuteczność apelów i ostrzeżeń pod adresem dozorców i zakładów oczyszczania miast, niemal liczenie na timor Dei czyli bojaźń bożą. Nie pomogły odznaki i premie, podziękowania i błagania — co roku sytuacja się powtarza, stając się haniebnym przykładem indolencji i bezradności. Piszę o tym z zażenowaniem.

Myślę, że trzeba zaapelować do kogo innego. Do aparatu administracyjnego i porządkowego. To on się powinien zmobilizować i zacząć stosować skuteczne a masowe środki represji w wyjątkowo przecież bezspornej i społecznie ważnej sprawie. Tysiące boleśnie uderzających po kieszeni mandatów z okazji każdej ślizgawicy i każdego śniegu, każdego niedopatrzenia mogą wreszcie przynieść pożądany skutek. Spróbujcie, obywatele! Bo ja wiem tylko jedno: w moim przedwojennym kresowym, zaniedbanym skądinąd miasteczku było pod tym względem bez porównania lepiej niż obecnie na pryncypalnych ulicach naszych uroczych miast.

Nie jestem zwolennikiem przekarmiania telewidzów i dlatego nie roszczę pretensji do programu minionych siedmiu dni.

Kto chciał, mógł usłyszeć i zobaczyć wiele odcinków pożytecznych, zaliczających się do publicystyki lub do popularyzacji wiedzy. A więc wywiady, audycja o folklorze, „Monitor", prowadzony przez Karola Malcużyńskiego, urozmaicony „Pegaz" Grzegorza Lasoty, na który złożyły się fragmenty sztuk teatralnych (piękna wypowiedź Tadeusza Minca), występ „Bieriozki", polemiczne uwagi o polskim plakacie mało czytelnym dla masowego odbiorcy, rozmowa o pierwszym ciekawym numerze tak długo oczekiwanego miesięcznika „Poezja". (Nawiasem mówiąc, jego wygląd typograficzny wymaga szybkiej interwencji!) „Pegaz" słusznie zlekceważył tak u nas powszechne określenie „antypowieść" na korzyść dorzeczniejszego określenia „nowa powieść". (Mam u siebie dwie powieści Butora, ale żadnej nie mogłem doczytać do końca, nie znaczy to jednak iż nie wzbogacają one współczesnych doświadczeń prozatorskich.)

Poważniejszą problematykę moralną reprezentowało powtórzenie świetnego przedstawienia „Kraksy" Duerrenmatta.

„Kobra" mimo rozwlekłości budziła przychylność próbą rozegrania akcji w oparciu o nasze współczesne realia. Do licha, dorobiliśmy się naprawdę bogatej i różnorodnej przestępczości — i nie ma co się oglądać na zachodnie konwencje literatury kryminalnej. Pointa z gargarinem, niestety, nienowa. Jeśli się nie mylę to i w TV pokazano kiedyś opowiadanie Faulknera „Dym". Identyfikację przestępcy przesądził dym z fajki zatrzymany w pudełku.

W stanie odprężenia oglądało się barburkowy program rozrywkowy „Przy sobocie po robocie". Co było w nim miłe? Duża bezpretensjonalność, niesilenie się na tanie efekciarstwo, szczęśliwy początek wprowadzający rodzinny nastrój na olbrzymiej przecież sali, mieszczącej tak wielu widzów. A i zdemokratyzowane girlsy, proszę państwa!

Najwięcej oklasków zebrała p. Alina Janowska. Może i dlatego, że jej parodie nie były za „cienko" wykonane. Ale to w takich wypadkach konieczność. Najbardziej podobał mi się monolog p. Jerzego Ofierskiego. Po raz pierwszy nie tylko go widziałem, ale i słyszałem. Przy okazji „audiowizualnej" bardzo zyskuje.

I wreszcie — sprawozdanie z Mistrzostw Świata w gimnastyce artystycznej! Jakież to wdzięczne dla telekranu!

Jan Huszczy

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Polski tytuł **„MANDRIN"** nie mówi zbyt wiele naszym widzom. We francusko-włoskim oryginale do owego nazwiska dodane było jeszcze w tytule określenie „bandyta gentleman". To wiele wyjaśnia. „Mandrin" to kostiumowy dramat przygodowy, a jego tytułowa postać jest ulubionym bohaterem francuskiego filmu „płaszcza i szpady". Mandrin przypomina do złudzenia historię naszego rodzimego Ondraszka czy Janosika, jakkolwiek był postacią historyczną — słynnym francuskim bandytą żyjącym w pierwszej połowie XVIII wieku. Naprzód przemytnik, potem rozbójnik dokonał wielu zuchwałych czynów, przez pewien czas toczył prawdziwą wojnę z wojskami królewskimi. Legenda widzi w nim obrońcę praw biednych i uciśnionych. Polskość przywodzi nam na myśl nie sama jednak analogia z Ondraszkiem czy Janosikiem. Autentycznie polskie są w tym filmie pejzaże, plenery. Kręcono je bowiem w Tatrach, w Pieninach, na Podhalu. Przy okazji „podłapano" naszego Niemczyka, który ma tam epizodyczną, acz całkiem pokaźną rolę Grandwilla. Nie przysparza nam to jednak zbyt wiele splendoru, bo całość zrobiona jest bzdurnie i to bez wdzięku. Brak ambicji artystycznych, trzymanie się starych, ograny ch i naiwnych schematów (chwilami film wygląda jak zestaw lub kradzież trochę tylko przerobionych cytatów z różnych filmów) stara się okupić jedynie akcentowaniem społecznej wymowy legendy. W dodatku kolor w tym szerokoekranowym filmie nie może budzić zachwytów. „Mandrin" zawedzi więc nie tylko kinomanów, także i miłośników naszych górskich krajobrazów.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Co zrobić, gdy mąż jest chorobliwie zazdrosny o swoją żonę? Kiedy każdy mężczyzna, nawet jego własny przyjaciel, wydaje mu się potencjalnym kandydatem na tego trzeciego w małżeńskim trójkącie? Co czynić, gdy w panicznej obawie przed przyprawieniem rogów mężczyzna przeszukuje torebki żony, czyta adresowane do niej listy, podsłuchuje rozmowy telefoniczne? Jak wyplenić z serc władców naszego świata tę oznakę słabości, ową niepewność i niepokój towarzyszące nieodłącznie zazdrości? Rada jest prosta, środek skuteczny: należy wysłać zazdrośnika na film Antonio Pietrangeliego „WSPANIAŁY ROGACZ". Co prawda kuracja będzie uderzeniowa, „lek" jest bowiem wyjątkowo mocny, ale tym lepiej — większa będzie jego moc uodporniająca. Ze względu na tę ostatnią cechę zalecam ekranową komedię Pietrangeliego nie tylko małżeńsko zrzeszonym, ale i tym na wolności — profilaktycznie. Tym zaś, którym nie grozi już potęga tego dojmującego uczucia, doradzam pójście na „Wspaniałego rogacza" dla dwóch godzin gromkiego, serdecznego śmiechu („Wspaniały rogacz" wspaniale bawi!) zaprawionego odrobiną melancholii lub nawet i... zazdrości spod wezwania „ach, ci młodzi". Jeśli dodam, że odtwórcami głównych ról są Claudia Cardinale i Ugo Tognazzi, a ze względu na sposób podejścia do problematyki miłości, erotyzmu, film przypomina trochę „Rozwód po włosku", trochę „Ape Regina", pokusa obejrzenia „Wspaniałego rogacza" będzie chyba dostatecznie mocna. Erotyzm i związane z nim perypetie są siłą napędową wszystkich tych trzech filmów. Każdy z nich demonizuje na swój sposób rolę erotyki w ludzkim życiu. Każdy posuwa się w swym humorze do sarkazmu i sięga po efekty makabryczne, które dzięki swym kontekstom sytuacyjnym, dzięki jaskrawej sprzeczności między treścią tego, co pokazane, a sposobem, formą ukazania — nie tylko nie przerażają, lecz właśnie najbardziej rozśmieszają. Dlatego, jak w „Rozwodzie po włosku", szczególnie zabawne są we „Wspaniałym rogaczu" sceny nierealne, rozgrywające się jedynie w imaginacji podekscytowanego bohatera. Film Pietrangeliego, podobnie jak „Ape Regina" jest komedią psychologiczną. Oba filmy zajmują się jednak w gruncie rzeczy jedynie psychiką mężczyzn. Kobiety są w nich przyczyną życiowych klęsk bohaterów, obiektami, na których sprawdza się psychika męska, ale tylko obiektami. Należą do otoczenia mężczyzn, są sprowadzone niemal do roli fatalnych mechanizmów. Różnią się między sobą. „Ape Regina" prezentowała żonę-matkę. „Wspaniały rogacz" przedstawia żonę-kochankę. Dzięki temu wzajemnie się jakby uzupełniają. Nie sposób się oprzeć temu wrażeniu może i dlatego, że w obu tych filmach odtwarza główną rolę Ugo Tognazzi. I w obu jako postać ekranowa ponosi klęskę, choć jakże odmienną, z jak różnych płynącą przyczyn. We „Wspaniałym rogaczu" mamy do czynienia z podwójnym paradoksem: gdy wszystko w rzeczywistości układa się dobrze, wyimaginowane zmory niepokoją bohatera doprowadzając go niemal do obłędu. Lecz kiedy zdoła się ich pozbyć, kiedy się wreszcie uspokoi, to — czego przedtem obawiał się tylko, stanie się faktem dokonanym. Jest w tym ziarno goryczy — mówienie o tym, jak ludzie rozmijają się w życiu, jak nie mogą wzajemnie się porozumieć.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NAGRODY LITERACKIE WE FRANCJI

■ Tegoroczną nagrodę Goncourtów otrzymał Jacques Borel, czterdziestoletni nauczyciel gimnazjalny języka angielskiego. Nagroda nie jest wysoka, wynosi zaledwie 50 franków, ale nagrodzona powieść osiągnie teraz nakład 200.000 egzemplarzy, a jej autor od razu staje się znany.

Powieść Borela „L'Adoration" (Uwielbienie) jest jego książkowym debiutem, choć Borel nie po raz pierwszy chwycił za pióro. Tłumaczył James Joyce'a, pisywał ze znawstwem o poezji Verlaine'a i jest stałym współpracownikiem pism literackich. Książka Borela jest obszerna. Liczy ponad 600 stronic. Jej tytuł „Uwielbienie" odnosi się do uczucia żywionego przez matkę do swego syna, ale też i wzajemnie, syna do matki. Bohater powieści bowiem, po licznych związkach z kobietami, odkrywa, że najsilniej i najgłębiej związany jest uczuciowo ze swą matką. Powieść oparta jest na materiale autobiograficznym, jej tłem jest szeroko odmalowana francuska prowincja, a jej bohater, podobnie jak sam autor, wychowywany był przez matkę, bez ojca. Na tym miejscu przypomnimy, że motyw ten przewija się u takich znanych pisarzy francuskich jak Sartre, również wychowywany tylko przez matkę, jak Mauriac, jak wreszcie Proust uczuciowo zależny od swej matki.

Krytycy, zdaje się nie bez podstaw, upatrują w powieści Borela wpływów Prousta i podłoża kompleksów freudowskich. Książka niełatwo uzyskała nagrodę. Spośród sześciu kandydatów osiągnęła sukces dopiero w piątym głosowaniu. Wydawnictwo Gallimard, w którym ukazała się powieść, spodziewało się podobno raczej zwycięstwa powieści Rogera Grenier pt. „Palais d'hiver" (Pałac Zimowy). Autor — to młody, dobrze zapowiadający się prozaik, którego coraz większa dojrzałość pisarska zaznacza się z każdą jego nowo wydaną powieścią. Mówi się, że Roger Granier ma wszelkie szanse, aby wejść na trwałe do literatury.

W przeciwieństwie do grubej książki Borela nagrodę Renaudota otrzymała cieniutka książeczka Georges Perreca, nosząca tytuł „Les choses" (Rzeczy), a mająca podtytuł „Opowieść o roku 60". Perrec jest psychosocjologiem. Jako pisarz uważa się za pilnego ucznia Flauberta i jak sam twierdzi, nie miał ambicji napisania typowej powieści, ale chciał na tle opisu przeciętnego małżeństwa współczesnego ukazać historię obyczajową. Książka, nawiasem mówiąc, kończąca się ostatnim zdaniem, cytatem z pism Marksa, jest ogólnie biorąc, powieścią ukazującą wewnętrzną pustkę i alienację jaka przypadła jej bohaterom w świecie kapitalistycznego dobrobytu i luksusu.

LIST JOANNY D'ARC NA LICYTACJI

■ List Joanny d'Arc adresowany do ojców miasta Reims został przekazany do licytacji. Został napisany przez Joannę w dniu 16 marca 1430 roku i zawiera przyrzeczenie przez nią pomocy miastu Reims, na wypadek gdyby było ono oblężone przez nieprzyjaciela. List znajdował się dotąd w posiadaniu pewnej rodziny, która wywodzi się od starszego brata Joanny d'Arc.

ORYGINALNE FORMY KONTAKTU POETÓW Z CZYTELNIKAMI

■ Zaczęło się to niemal dziesięć lat temu. W Stambule, w niewielkiej salce rozwieszono artystyczne fotografie drzew, gór, ulic, fabryk, pracujących ludzi. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że zamiast objaśniających podpisów pod fotografiami znajdowały się wiersze. Autorem ich był Nevzat Uestuen. Ale jego strofy nie były jedynie poetyckim objaśnieniem lub uzupełnieniem treści fotografii. Przeciwnie. Treść wierszy kontrastowała silnie z tematyką obrazów. I tak np. pod fotografią ze wsi na wschodzie Turcji, gdzie zamiast domów widziało się nędzne lepianki, umieszczono wiersz o cudach techniki dwudziestego wieku, o sputnikach, reaktorach i helikopterach. Pod fotografią rąk kurczowo uczepionych więziennej kraty — wiersz o wolnym i swobodnym górskim wietrze.

Jeden ze znanych tureckich poetów poszedł w swej pomysłowości jeszcze dalej. Uruchomił w Stambule swój poetycki warsztat w dosłownym znaczeniu. Przy jednej z ulic znajduje się jego lokal — stół, kilka krzeseł, kanapa. W witrynie widnieje, nakreślony dużymi literami, ostatni wiersz. W określone dni i godziny poeta przychodzi do tej pracowni i pisze. Każdy z przechodniów może nie tylko przeczytać wiersz, wystawiony w witrynie, ale wejść do lokalu poety i kupić sobie jego ostatni tom poezji, porozmawiać z autorem na temat jego pracy, wreszcie spytać się, jeśli nie zrozumiał jakichś fragmentów dzieła, co poeta chciał w nich wyrazić.

ZABYTKOWA CERKIEW PRZENIESIONA O 100 KILOMETRÓW

■ Drewniana cerkiew, cenny zabytek starorosyjskiego rzemiosła, zbudowana bez użycia choćby jednego gwoździa, 400 lat temu nad Jeziorem Kubieńskim w mieście Uspienskij (Kazachska SRR) została starannie rozebrana, następnie przewieziono ją drogą wodną do miejscowości odległej o sto kilometrów i ustawiono w monastyrze. Przeniesienie zabytku było konieczne; ponieważ zabytkowa budowla znajdowała się w miejscu podmokłym i groziło jej zniszczenie.

NIEZNANE STROFY PUSZKINA

■ Późną jesienią 1828 roku Puszkin był gościem rodziny swej przyjaciółki P. A. Osipowej-Wulf w miejscowości Malinniki koło miasta Starica.

W sąsiednim majątku, wychowywała się, spokrewniona z Wulfami, młodziutka Maria Wasilewna Borysowa. Puszkin zachwycał się jej urodą.

Po Rewolucji Październikowej w 1919 roku w Staricy otwarto muzeum sztuki i pamiątek. W dziesięć lat potem miejscowy nauczyciel Cwietkow, przeglądając muzealne eksponaty, zainteresował się dziewczęcym albumikiem. Kartkując go natknął się niespodziewanie na wiersz dedykowany przez Puszkina M. W. Borysowej, a datowany 15 listopada 1828 roku. Między kartkami albumu Cwietkow znalazł jeszcze czterowiersz pisany tą samą ręką, z datą 28 listopada 1828 roku, a więc w przeddzień odjazdu Puszkina z Malinnik. Nauczyciel wstrząśnięty odkryciem, podzielił się nim z kierownikiem muzeum. Obaj sprawdzili autentyczność pisma Puszkina, nauczyciel odpisał sobie wiersze, po czym manuskrypty wielkiego poety zostały zabezpieczone w żelaznej szkatułce. Minęły lata. Cwietkow wyjechał. Wybuchła wojna. Eksponaty zostały wywiezione. Po wojnie, nie reaktywowano już muzeum. Zagubiły się wiersze Puszkina dla Maszeńki Borysowej. Cwietkow nie rozstawał się wprawdzie; nawet podczas wojny, ze swymi zapiskami, ale uległy one zniszczeniu. Wyblakły litery i rozmazały się. Nie można już było odczytać wiersza przepisanego z dziewczęcego albumu. Na szczęście strofkę, odpisaną z luźnej kartki w albumie, potrafiono jeszcze przeczytać. Oto jej brzmienie w dosłownym przekładzie: Minuty słodkich spotkań, I czar dziewczęcych lic, I płomienny żar twoich pieszczot. Wszystko zachowa pamięć serca!

DZIECI MALUJĄ NA JEZDNI

■ W Belgradzie każdej wiosny i każdej jesieni odbywa się współzawodnictwo młodocianych artystów. Dzieci dostają do dyspozycji jeden z największych placów miasta i rysują kolorowymi kredkami co tylko zechcą. Plac mieni się wtedy przedziwnymi kształtami i różnorodnością barw, liczni widzowie podziwiają rysunki młodocianych artystów. Jury, złożone ze znawców, na miejscu ogląda te rysunki i najlepsze z nich kwalifikuje do nagrody.

UTRACONA TWARZ

■ Taki tytuł będzie miał nowy fantastyczny film czechosłowacki w reżyserii P. Chobla, wg scenariusza Józefa Nieswadby. Głównym bohaterem tego filmu jest doktor Bartosz, który wynalazł sposób całkowitej transplantacji twarzy, przeniesienia jej z jednego człowieka na drugiego. W filmie trzy osoby zmieniają zupełnie swój wygląd, nie zawsze dobrowolnie. „Film stawia poważne problemy — powiedział w wywiadzie reżyser. — Co właściwie określa człowieka? Jego twarz? Czy środowisko, w którym żyje?"

JESZCZE JEDEN OBRAZ TYCJANA?

■ Na obrazie „Apollo i Marsjas" znajdującym się w galerii w Kromeriz (południowe Morawy) w Czechosłowacji przy pracach restauracyjnych odkryto podpis Tycjana.

O dziesiątej rocznicy śmierci Maurice Utrillo pisaliśmy w ostatnim numerze. Dziś przedstawiamy naszym czytelnikom dwa portrety artysty: pierwszy — z lat dziecięcych, zrobiony przez matkę, Suzanne Valadon i drugi wykonany tuż przed śmiercią ostatniego z wielkiej plejady impresjonistów.

POLONICA

JAN PARANDOWSKI — WE FRANCJI

„La Semaine Polonaise" z dnia 21 listopada br. przynosi wywiad ze znanym polskim pisarzem — Janem Parandowskim oraz bardzo obszerny artykuł poświęcony działalności literackiej tego utalentowanego autora.

Oto co powiedział o sobie Parandowski: „Moje życie wypełnia praca w zawodzie, który uważam za jeden z najgodniejszych i najbardziej odpowiedzialnych. Słowo utrwalone w piśmie zdobywa władzę nad myślą, wyobraźnią i sercem ludzi — naszych braci. Uważam, że harmonia, piękno, dobro — zasługują na większą uwagę, a bywały w literaturze zbyt często maltretowane... Szukam drogi ku lepszemu światu, który jest tak samo realny".

Artykuł jest uzupełniony portretem pisarza.

MROŻEK PO FRANCUSKU

Jak podaje „L'Activité Littéraire" w swoim 196 numerze, we Francji ukazał się tom opowiadań Sławomira Mrożka pt. „Les porte-plume" — Obsadki. Przekładu dokonała Anna Posner.

A oto co pisze paryski wydawca Albin Michel: „Młody, 30-letni Polak, Sławomir Mrożek, jest znany we Francji z opublikowanego w 1964 r. pierwszego zbioru nowel „Słoń" — 42 opowiadań, o których Kléber Haedens mógł powiedzieć, że każde z nich było „krótkie, śmieszne, okrutne, uszczypliwe, straszne". Taki sam talent odnajduje się w „Obsadkach" i S. Mrożek jeszcze raz nas zadziwi, zabawi, zaniepokoi humorem oryginalnym i burleskowym swych nowych opowiadań". (ei)

„CIE CHOROBA" W USA

„Głos Ludowy" z Detroit w swym 38 numerze donosi o wielkiej imprezie, jaka odbyła się w audytorium Kopernika w Hamtramck, pod tytułem: „Na chłopski rozum".

Występy naszych artystów, jak pisze tygodnik, należały do najlepszych tego typu przedstawień, jakie w ciągu ostatnich dwóch lat oglądała Polonia amerykańska.

„Polska dzisiejsza nie przestaje nas zadziwiać: jest prawdziwą wylęgarnią talentów. „Cie choroba" zakasowała wszystkie tego rodzaju teatrzyki paryskie. Jest niedościgniona w doskonałości".

Ocena, jak widzimy, jest bardzo wysoka. Po sukcesach w Detroit, zespół Jerzego Ofierskiego występował w Buffalo, Cleveland, Milwaukee i Chicago.

(ei)

O POLSKICH PRZEKŁADACH

W dodatku do „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z 9 listopada 1965 r. pn. „Literaturblatt" znajdują się: recenzja o wyborze sztuk Sławomira Mrożka, wydanych w NRF w dwu tomach, recenzja z nowego tomu opowiadań Marka Hłaski oraz recenzja z antologii pt. „Współcześni polscy noweliści". Warto zwrócić uwagę na tę ostatnią publikację, która zawiera m. in. opowiadania Odojewskiego, Czeszki, Bratnego, Kabatsa i M. Nowakowskiego. Tłumaczem i redaktorem tomu jest germanista Uniwersytetu Wrocławskiego, Gerard Koziełek, a tom wydał Goldmann Verlag z Monachium. Jak widać, również opowiadania młodszych autorów budzą za granicą zainteresowanie.

ST. R. DOBROWOLSKI — UCZESTNIKIEM MOSKIEWSKICH „DNI POEZJI"

Rozpoczął się w Moskwie 10, jubileuszowy „Dzień poezji", który trwa całe 15 dni (od 15 listopada do 5 grudnia). Na tę uroczystość zostali zaproszeni poeci z różnych krajów. Zaproszono ich nie tylko jako gości, lecz i jako wykonawców. Z Polski wyjechał St. R. Dobrowolski, którego wiersze są bardzo popularne wśród radzieckich entuzjastów poezji. „Literaturnaja gazieta" z dnia 27 listopada br. zamieszcza w związku z tym wiersz Dobrowolskiego pt. Mojej muzie. Wiersz jest bardzo liryczny a w przekładzie A. Riewicza, nabiera swoistej melancholii.

(ei)

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej jest przywiązany do swej ziemi serdecznie, co nie przeszkadza a przeciwnie, daje inspiracje jego ruchliwości. Praca PTZŁ nie jest łatwa, jest trudna, głównie przez: 19. XI. premierowe przedstawienie „Konrada Wallenroda" w Łasku, z okazji 200-lecia sceny narodowej. 20. XI. drugie przedstawienie w Opocznie związane z uroczystością przekazania sztandaru od społeczeństwa Oddziałowi Nauczycielstwa Polskiego i odsłonięcia tablicy pamiątkowej w gmachu szkoły nr 2, pamięci 23 nauczycieli, którzy oddali swe życie w szeregach partyzanckich.

Proszę przypomnieć sobie „pogodę", jaką mieliśmy 19 i 20. XI. br., drogi powiatowe, sceny, szatnie itp. a wówczas...

Praca PTZŁ wzbudza zrozumienie, uznanie i wdzięczność. To są jej blaski: po uroczystościach wszyscy nauczyciele, około 500, oglądali „Konrada Wallenroda". Po przedstawieniu Bolesław Wojewódzki, poeta ludowy, społecznik i kier. Wydz. Kultury serdecznie podziękował za piękny spektakl i wręczył zespołowi kwiatów bukiet kolorowy.

WTOREK

„Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Łodzi uprzejmie zaprasza na otwarcie wystawy malarstwa (akwarele) artystki malarki Klary Cepalin-Jaskowicz". Wernisaż miał miejsce w kuluarach P. Teatru Nowego.

Małżeństwo teatru z malarstwem nigdy nie było mezaliansem; przeciwnie, niezwykle to dobrane stadło, z którego potomstwo zdrowe i urodziwe (scenografia w prostej linii). Nie wdając się w badania genetyczne, należy odnotować sam fakt uaktywnienia tego typu zbliżeń, co stwarza szersze możliwości eksploatowania plastyki. Nie rozwiązuje to oczywiście zasadniczych potrzeb środowiska plastycznego w Łodzi.

ŚRODA I CZWARTEK

W przyspieszaniu upowszechniania sztuki niewątpliwie ogromną rolę odgrywa organizacja i planowanie. Propagowanie form upowszechniania wymaga już nie tylko pracy, uporu i fachowości, lecz również, na szczeblu koordynującym, socjologicznego rozeznania i analizy zarówno bieżącego zapotrzebowania, jak i potencjalnych „głodów" kulturalno-estetycznych w społeczeństwie. Dokładna orientacja w aktualnej sytuacji, czyli podsumowanie akcji, pod względem poszerzania i pogłębiania form upowszechniania sztuki, stanowi podstawę nie tylko do optymizmu czy pesymizmu, lecz również do dalszych wniosków o charakterze programowym.

Sprawą wielkiej wagi jest rozbudzanie „głodów" ledwie uświadomionych, rozwijanie świadomych i zaspokajanie dojrzałych estetycznie w sposób niedoktrynerski i jak najszerszy, jednakże nie wykraczający poza humanizm.

1. XII. br. Plenum Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych dokonało podsumowania i przedyskutowało dotychczasowe osiągnięcia WKZZ w upowszechnianiu sztuki. Podkreślano coraz większą rolę upowszechniania sztuki w realizacji celów wychowawczych. „Amatorski ruch artystyczny w różnych kategoriach zainteresowań, służąc ujawnieniu uzdolnień artystycznych, wyzwala aktywną postawę kulturalną i jedna nowych, zaangażowanych popularyzatorów sztuki i jej miłośników". W ten sposób na szerokiej płaszczyźnie odbiorców wyrastają rzesze aktywnie włączających się w ożywczy i porywający nurt sztuki.

Już można zaryzykować twierdzenie, że WKZZ z potentata-pośrednika i organizatora przedzierzga się w przewodnika między dwoma, na pozór odległymi, skrzydłami lotu i postępu kultury: świadomym, aktywnym odbiorcą i twórcą.

PIĄTEK

Człowiek w obliczu spraw ostatecznych. Człowiek sprawdzany nieubłaganą wagą z siecią drgających nerwów, dobrymi lub złymi intencjami, przed wyborem i decyzją. Miara sensu życia, rachunek w obliczu bezsensu śmierci. W dużym uproszczeniu „ilustrując" sztukę Sartre'a „Niepogrzebani", jej determinacje aktorskie, trzeba przyznać, że reżyser pokazu Adam Daniewicz postawił absolwentów PWSTiF (wydział aktorski) w obliczu spraw ostatecznych, z siecią drgających nerwów, przed miarą sensu ich życia aktorskiego.

Młodość jest zwycięska, chciałoby się rzec po ochłonięciu z wrażenia, jakie wstrząsający dramat Sartre'a sprawia. Wstrząsający. A więc intencji autora i reżysera nie wykrzywiła gra aktorów. Młodzi adepci — sprawdzeni nieubłaganą wagą sceny — sens sztuki teatralnej poznali.

SOBOTA

Powieść kryminalna cieszy się ogromnym powodzeniem wśród czytelników. Nic dziwnego. Ma ona swoją tradycję, historię a nawet kanony, które stale są rekonstruowane i ulepszane z myślą o „konsumentach". Powieść kryminalna przeszła wiele form rozwojowych: od nieprecyzyjnej w logice, „łatanej" szczęśliwym trafem i „genialną" interwencją autora do oschłej fabularnie, oszczędnej formalnie, ale za to znakomicie logicznej łamigłówki. Czytelnik dostawał do ręki zabawę intelektualną, gdzie zabójca, jako niewiadoma, ale widoczna postać, do ostatnich nieomalże stron czeka na zdemaskowanie przez... czytelnika.

Ale i tu środki inwencji autorskiej uległy pewnemu wyczerpaniu. Ilość wariantów okazała się zbyt uboga. Ustawiczne podstawianie zbrodniarza jako matematycznej niewiadomej, odzierało powieść kryminalną z barwności i pozbawiało, względnie stępiało emocje grozy i niespodzianki. Czyni się próby ulepszenia konwencji i gorączkowo poszukuje nowych wariantów: np. ofiara jest zbrodniarzem; zbrodnia polega na zemście zza grobu. Albo: „Sąd wzywa zaginionego, aby w terminie trzech miesięcy stawił się w sądzie pod rygorem uznania go za zmarłego". Nieboszczyk stawia się w oznaczonym terminie i udaje niewinnego. (Z życia wyjęte) c.d.n.

NIEDZIELA

Śpię jak zabity. Po trudach i znojach całego tygodnia. Ponoć nic się nie dzieje na świecie, gdy śpię. A gdyby jednak coś, to proszę nie dzwonić, pod żadnym pozorem. Jeszcze nie mam telefonu.

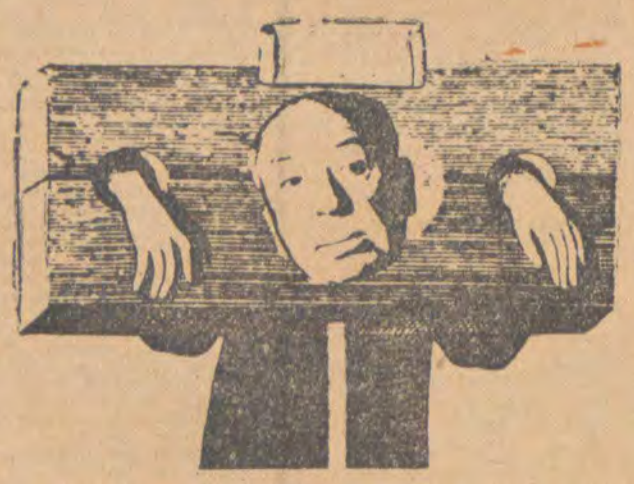

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizowawć TV

Alfred Hitchcock

LYNCH

Było ich trzydziestu albo czterdziestu. Na ulicy płonęły już latarnie, a oni stali oparci o pnie drzew, o ścianę pobliskiego domu, o samochody... Patrzyli w naszą stronę i rozmawiali. Na razie zachowywali się spokojnie.

Odszedłem od okna.

Jed Tracy czyścił jeden z karabinów. Wszystkie błyszczały jak nowe, ale on zawsze musiał coś robić.

— Ostatni raz lynch miał miejsce w naszym mieście dziesięć lat temu — powiedział.

Usiadłem przy biurku i zapaliłem papierosa.

Usłyszałem z zewnątrz kilka okrzyków, ale one nie miały dla nas żadnego znaczenia.

— Czy pan boi się, szeryfie? — spytał Jed.

— Nie.

— Dlaczego? Tylu ich tam jest...

Wzruszyłem ramionami.

— Jeden pies mógłby ich stamtąd wypłoszyć. Oprócz tego oni nie domagają się lynchu dla samej przyjemności. Trochę sobie wypiją, a potem mogą nawet dobijać się do drzwi. Ale to chyba wszystko, czego można się po nich spodziewać.

Uważnie patrzyłem na Jeda.

— A jeżeli spróbują wziąć Randalla siłą, co pan wtedy zrobi? Zaprosi ich pan tu? — spytał sprawdzając lufę pod światło.

— Jestem szeryfem i ja za wszystko odpowiadam. Nie musisz o mnie się martwić.

Zadzwonił telefon i wtedy podniosłem słuchawkę. Od stolicy naszego stanu dzieliło nas wiele kilometrów.

— Szeryf Bragan?

— Tak, słucham.

— Mówi gubernator Hassett. Dowiedziałem się, że jest pan w kłopotliwej sytuacji.

— Niezupełnie.

— Dzwoniła do mnie pewna nauczycielka, która pracuje w waszym mieście. Powiedziała mi, że zanosi się na... lynch.

— Mogę pana zapewnić, że nic takiego się nie stanie.

— No tak... Ona mówiła mi, że coraz więcej ludzi zbiera się koło więzienia.

— To prawda, ale oni nie są groźni.

— Postaram się przysłać panu pomoc.

— Nie trzeba. Poradzimy sobie jakoś.

— Jakie przestępstwo popełnił aresztowany?

— Upił się i zastrzelił człowieka.

JACK RITCHIE

— Rozumiem... Gdyby znalazł się pan w krytycznej sytuacji, proszę dzwonić.

— Dobrze.

Odczekałem chwilę i odłożyłem słuchawkę.

* * *

W czasie wojny w Korei mianowano mnie porucznikiem. Przedtem byłem sierżantem — powiedział Jed.

— Jestem pewien, że matka była z ciebie dumna — uśmiechnąłem się złośliwie.

Jego twarz zrobiła się czerwona.

— Byłem dowódcą. Moi ludzie poszliby za mną nawet do piekła.

— Po to, by zobaczyć, że ty naprawdę tam jesteś?

Karabin opadł mu na kolana.

— Jest pan taki ważny, bo skończył pan uniwersytet, co? Trzeba było tam zostać. Wiemy dlaczego pan tu wrócił: żeby odwiedzać ten wielki dom na wzgórzu.

To prawda. W domu tym mieszkała Helen Randall. Studiowaliśmy razem i wtedy to, że nie byłem bogaty nie miało dla niej żadnego znaczenia. Chciała, żebym tu przyjechał.

W tym momencie usłyszałem głos jej brata Philipa, który prosił by mu dać trochę wody. Poszedłem do niego. Philip napił się i zapytał:

— Kiedy wypuścisz mnie z tej dziury, Bragan?

— Nie siedzisz tu za pyskówkę.

Zaśmiał się krótko.

— Nazywam się Philip Randall i to miasto do mnie należy.

— Do ciebie należą tylko kopalnie.

— Cóż znaczy miasto bez moich kopalń? Czy dzwonił Carson?

— Nie.

Carson był jego adwokatem. Randall wyjął papierosa i powiedział:

— Ja nic nie pamiętam.

— Oprócz ciebie w barze było czternaście osób.

Randall wzruszył ramionami z lekceważeniem. Wiedziałem o czym myśli: za pieniądze można kupić pamięć tych ludzi. Dlatego o nic się nie martwił. Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

— Nie wiesz przypadkiem kogo zabiłem?

— Jednego ze swoich górników. Billa Wakera.

Usłyszał okrzyki ludzi stojących na ulicy i podszedł do okna.

— Czego oni chcą?

— Ciebie.

Patrzył na nich przez chwilę i chyba dopiero teraz zaczął się bać.

— Co cię pokusiło, żeby wejść do tego baru? Przecież to spelunka.

— Mam do tego prawo. Jestem obywatelem wolnego kraju.

— Oczywiście, ale byłeś pijany i w dodatku miałeś na sobie smoking, a przecież wiesz, że to na nich działa jak czerwona płachta na byka. Twój smoking przypomniał im, że oni są nędzarzami, a ty jesteś jednym z tych, którzy nimi rządzą.

— On mnie zaatakował. Musiałem się bronić i dlatego strzeliłem. Wszyscy widzieli jak było.

— Możliwe, ale nie zapominaj, że połowa tych ludzi tutaj, to krewni, albo najbliższa rodzina Wakera.

* * *

Wróciłem do Jeda. Stał przy oknie i patrzył na rosnący tłum. Zauważyłem, że jakiś samochód zbliża się w naszą stronę i zatrzymuje się przy drzwiach więzienia. Wysiadła z niego Helen Randall. Otworzyłem drzwi.

— Lew, gdzie jest mój brat?

Zaprowadziłem ją do celi. Randall zbliżył się do krat.

— Bardzo się cieszę, Helen, że przyszłaś.

— Co się stało, Philip? Carson nie potrafił mi wszystkiego wyjaśnić.

— Mówią, że zabiłem kogoś. Walker, Welker, Wilker. Jakoś tak się nazywa.

— Bill Waker — powiedział Jed. — Zostawił żonę i sześcioro dzieci.

Milczeliśmy.

Helen poprosiła nas byśmy zostawili ich samych. Wróciła po chwili.

— Czy nie mógłbyś coś zrobić z tymi ludźmi, Lew? Philip bardzo się denerwuje.

— Ależ nie martw się. Zapewniam cię, że nic mu się nie stanie.

Wiedziałem, że nie była zupełnie przekonana.

— Czy można go stąd wywieźć do Marysville?

— W tej chwili to jest niemożliwe.

— Nie pozwolisz go skrzywdzić, prawda?

— Oczywiście, że nie.

Wziąłem karabin i wyszedłem z nią na schody.

— Odsuńcie się od tego samochodu — powiedziałem i skierowałem lufę w stronę Elmo Wakera. — Słyszysz mnie, Elmo? Odsuń się, bo inaczej ciebie odsuną.

Spojrzał na mnie i powoli odszedł. Inni zrobili to samo. Helen wsiadła do samochodu i odjechała.

— Idźcie do domu! — krzyknąłem w stronę tłumu i wróciłem do więzienia.

* * *

— Jak pan myśli, czy po wyroku go powieszą? — spytał Jed.

Milczałem.

— Mamy czternastu świadków.

— A świadkowie mają puste kieszenie.

— Połowa z nich to kuzyni Wakera. Ich nie przekupi.

— Co z tego? Randall ma dużo pieniędzy.

— Nie wierzę. My jesteśmy uczciwi.

— Nie wiem.

Nagle szyba rozleciała się z trzaskiem i do pokoju wpadło kilka kamieni. Jed zerwał się na równe nogi. Podszedłem do okna. Wśród mężczyzn zauważyłem również kobiety. Jedną z nich była Donna Mae Davis.

— Donna Mae Davis też była wtedy w barze. Chyba czekała na Randalla.

Wiedziałem, że Jed spotykał się z nią, ale ostatnio widywano ją w towarzystwie Randalla.

— Nie pytałem ją o to — odparł Jed i pochylił się nad karabinem.

— Bragan, zabierz mnie stąd — krzyknął Randall. — Dam ci tysiąc dolarów.

— Dobrze, pomyślę o tym — powiedziałem. Otworzyłem szafkę i wyjąłem granat z gazem łzawiącym.

— Co pan chce zrobić? — spytał Jed.

— Chcę oczyścić miejsce przed więzieniem.

— Niech pan tego nie robi!

— Dlaczego?

— Tam są kobiety.

— Nie szkodzi. To nie majówka. A może one będą pomagały ciągnąć sznur?

Wyszedłem za drzwi i rzuciłem granat w środek tłumu. Po kilkunastu sekundach zorientowali się o co chodzi i z wrzaskiem zaczęli uciekać.

— Oni jeszcze wrócą, ale tym razem bez kobiet — powiedział Jed.

— Mam jeszcze kilka granatów.

— Może zawieziemy Randalla do Marysville. Dostaniemy tysiąc dolarów.

— Nie.

— Rozumiem. Pan chce zagarnąć całą forsę.

Roześmiałem mu się w twarz.

— Wiem. Cwaniak z pana. Pojedzie pan z nim do Marysville, a mnie pan zostawi na lodzie.

— Odepnij gwiazdę pomocnika szeryfa, połóż ją tu i wynoś się — powiedziałem ze złością.

Ruszył na mnie wystawiając do przodu swoje wielkie dłonie.

Wyjąłem z kabury rewolwer. Jed zatrzymał się. Odpiął od koszuli gwiazdę i wrzucił do kosza. Kiedy wyszedł — zamknąłem drzwi na klucz.

* * *

Obudził mnie trzask otwieranych drzwi. Nim zdążyłem sięgnąć po broń — kilka luf skierowało się w moją stronę. Wszyscy mężczyźni mieli maski na twarzach. Podniosłem ręce do góry.

— Wyjdźcie stąd natychmiast, bo inaczej źle to się dla was skończy! — powiedziałem głośno, ale zamaskowani działali w zupełnym milczeniu. Ich przywódca, wielki mężczyzna z automatycznym wojskowym pistoletem, wziął pęk kluczy, wybrał ten od celi Randalla i otworzył drzwi.

Randall był blady jak ściana.

— Bragan! — krzyczał. — Nie pozwól im!

Chwycili go i pociągnęli za sobą. Olbrzym wepchnął mnie do celi i zamknął. Patrzyłem na niego. Był w rękawiczkach, żeby nie zostawić odcisków palców. Zauważyłem, że na jego lewym bucie znajdują się dwa małe nacięcia.

Minęło sporo czasu nim zjawił się Jed Tracy i uwolnił mnie z zamknięcia.

— Gdzie byłeś?

— Spałem.

Spojrzałem na jego lewy but i zobaczyłem dwa małe nacięcia.

— Jesteś tego pewien?

— Tak. I moja rodzina też. Czy rozpoznał pan kogoś? — spytał ostrożnie.

— W tej chwili to już nie ważne.

— Tak. Trudno będzie powiesić któregoś z tutejszych.

— Gdzie jest Randall?

— Wisi na najbliższym drzewie — powiedział Jed i wyszedł.

Zadzwoniłem do gubernatora i czekałem na przyjazd oddziału policji.

O wschodzie słońca przyjechała Helen Randall. Wiedziała co się stało. Miała łzy w oczach. Rzuciła mi się na szyję i zaczęła płakać. Teraz była zupełnie sama. Miała tylkom mnie, ponieważ byłem jedynym człowiekiem na świecie, którego znała najlepiej, bo kiedyś na uniwersytecie...

Objąłem ją mocno.

— Strasznie mi przykro, Helen.

— To nie twoja wina, Lew. Ja wiem, że zrobiłeś wszystko co mogłeś.

Tak. Zrobiłem wszystko co mogłem.

Zrobiłem wszystko co mogłem zrobić, by zobaczyć Randalla nieżywym.

Wprawdzie tłum stał koło więzienia. Rzucono nawet kilka kamieni. Dlatego musiałem im pomóc i rozpalić w nich wściekłość. Użyłem gazów łzawiących. Ale to nie wszystko. Należało im dać przywódcę, kogoś oburzonego na przekupną sprawiedliwość, zżeranego zazdrością o Donnę Mae. Kosztowało mnie to wiele wysiłku, by z Jeda zrobić tego, kto był im potrzebny: przywódcę tłumu.

Trzymając w ramionach Helen patrzę na wzgórza. Kiedyś należały one do Philipa Randalla. Teraz są własnością Helen, a ona obejmuje mnie i uśmiecha się, chociaż ma jeszcze w oczach łzy.

Tłumaczył:

ROMAN GORZELSKI

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM		
POLONIA			
	„Człowiek który zabił Liberty Valance", 15 seansów	9968 —	90%
WŁÓKNIARZ			
	„W kraju Komanczów", 36 seansów	19712 —	95%
	TEATR		
NOWY			
	„Dożywocie", 4 spektakle	2000 —	60%
	„Bliźniaki z Wenecji", 1 spektakl	600 —	75%
MAŁA SALA			
	„Lato w Nohant", 1 spektakl	200 —	100%
JARACZA			
	„Ostatnia stacja", 3 spektakle	2010 —	100%
	„Moralność pani Dulskiej" 2 spektakle	1200 —	38%
POWSZECHNY			
	„Dom otwarty", 4 spektakle	2656 —	99%
	„Dziady", 3 spektakle	1455 —	73%
	„Niewidzialny książę", 1 spektakl	527 —	79%
7.15			
	„Szkoda wąsów", 5 spektakli	1351 —	60%
OPERETKA			
	„Piękna Helena", 7 spektakli	7057 —	90%
OPERA			
	„Legenda Bałtyku", 1 spektakl	530 —	80%
	„Fra diavolo", 1 spektakl	650 —	100%
ESTRADA			
	zespół „Animals", 2 występy	16.000 —	99%

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

Z POWODU SŁUPA

Był taki okres, zwłaszcza na ówczesnych Ziemiach Zachodnich, kiedy rozbierano stare gmaszyska i uzyskaną cegłę wykorzystywano do budowy stodół. Nie było w tym nic złego, dopóki rozbiórka nie dotyczyła obiektów zabytkowych, ale takie wypadki zdarzały się również. Energiczniejsze jednostki, a może i organizacje, korzystały z osłabionej czy znieczulonej na tym punkcie uwagi zainteresowanych czynników.

W tym samym okresie wznoszono niemal od fundamentów całe ulice i rynki starych, bardzo starych domków dla odtworzenia krajobrazu minionych wieków; powstawały w oczach Stare Miasta, zabytkowe ratusze, podcienia i zaułki.

Ostatecznie więc nie wiem, czy lubujemy się w tradycjach, albo mówiąc modniej: w przekazach historycznych, w zabytkach, w starzyźnie, czy też nie doceniamy ich i walimy na oślep w przyszłość. Myślę, że prawda jest mniej prosta od powyższej alternatywy i że kochając nasze dzieci, nie zapominamy o dziadkach. Tylko że — jak to zwykle bywa w sferze uczuć — nie zawsze przywiązujemy się do rzeczy i spraw, godnych pietyzmu.

Zejdźmy teraz o sto pięter niżej, do tych malutkich — pożal się, Boże — „przekazów", które na pewno zabytkami nie są, natomiast są zawalidrogami. Po co stoi wielki telegraficzny słup pośrodku wąskiego chodnika przy ulicy Rewolucji 45? Kiedyś na pewno spełniał jakąś rolę. Potem przestał, ale nikt nie ma serca go zlikwidować. Dzieci rozbijają nosy, starsi tańczą po lodzie kontredansa dokoła słupa, portier nowych Zakładów Graficznych spogląda przez szybkę i śmieje się do rozpuku. Zabytek!

Po każdym remoncie każdego domu zostaje na podwórzu sterta gruzu, piachu, drutu i kamieni. Dobre miejsce do zabawy w chowanego i do wyrzucania śmieci, nie mieszczących się w blaszanych zbiornikach. W czasie deszczu rozpływa się to szeroko, cierpliwi mieszkańcy zawijają nogawki spodni, nie piszą nawet do Małego Głosu, po co? Własne śmieci lubi się w końcu, wchodzą w tradycję, stają się „przekazem".

Na bardzo urzędowych gmachach w Alei Kościuszki wciąż można odczytać bojowe hasło: trzy razy tak! Dom się zawali, ulicę przeniesiemy gdzie indziej, a hasło zostanie. Zostaną też po całym mieście plakaty o występach Marino Mariniego i Klepury, repertuar kin na czerwiec i wakacyjna wystawa sklepowa pod hasłem „Idziemy do szkoły" na rogu Nowotki i Solnej.

Jak to przyjemnie: człowiek idzie zmarznięty i przewiany wiatrem na wylot, a nagle spojrzy i od razu mu się przypomną młode lata, trzy razy tak publiczne i czwarty raz — prywatne, w Urzędzie Stanu, potem koncerty sławnego Włocha, potem pierwszy wymarsz córeczki do szkoły...

Dopiero gdy wpadnie na telegraficzny słup — odpadną wspomnienia, a zagada rzeczywistość. Jeden klnie wtedy i zażywa ataraks, drugi pisze felieton. Z tym samym skutkiem.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3263. XII.65. N-3